

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 17 kwietnia 1915. Nr. 16.

Wielkanoc polskich wygnańców.



Święcenie przed kaplicą w Przerowie

Treść numeru: Komendant twierdzy krakowskiej. — Na Ofiary wojny — Nowoczesna medycyna wojenna. — Bunt w armii angielskiej. — Z tułaczki Legionistów. — Wojenne pieniądze i t. d.

Komendant twierdzy krakowskiej.

A gdy kiedyś nad Europą zcichną gromy i błyskawice, a nad grodem Wawelskim wiatr pomyślny rozwieje chmury zawieruchy dziejowej i wróci wszystko w swój dawny ład i porządek, skwapliwe pióro historyka niezaprzeczenie zapisać musi między innemi jedno nazwisko, z którem związały się tak silnie i tak nierozerwalnie dzieje naszego miasta w chwili wojny światowej — nazwisko jenerał-zbrojmistrza, a obecnego komendanta twierdzy, Karola Kuka. Ileż węzłów wzajemnej życzliwości wiąże dziś już nas jako obywateli twierdzy z jej naczelnym wodzem i troskliwym opiekunem miasta i jego ludności.

Kraków, jako pierwszorzędna twierdza i jako zabytek — żywy pomnik naszej świetnej przeszłości — jest placówką, z którą wiążą się losy wojny i naszego życia narodowego. I na tem właśnie odpowiedzialnem, a tak trudnem stanowisku, na którem stoją często w kolizyi względy militarne z żywotnemi interesami ludności, J. E. jen. Kuk potrafił znaleźć „złoty środek“, ujawniając niezwykłą energię przy obronie twierdzy, a jednocześnie ojcowką pieczołowistość o losy powierzonego jego pieczy miasta. To też w tej ciężkiej pracy, na tak ważnem posterunku, towarzyszy mu szacunek i wdzięczność całej ludności, która pokłada w nim wiarę i nadzieję, że w tym krytycznym momencie, jaki przeżywamy, swą energią i talentem potrafi uchronić Kraków od wszelkich niebezpieczeństw a jego mieszkańców otoczyć prawdziwie ojcowską opieką.

Jenerał zbrojmistrz Karol Kuk urodził się w 1853 roku w Tryeście. Po ukończeniu wojskowej akademii technicznej wstąpił w roku 1876 w randze porucznika w szeregi wojskowej inżynieryi. W roku 1878 brał udział w okupacyi Bośni i Hercogowiny, za co otrzymał „Signum audis“. W latach 1881—83 uczęszczał na wyższe kursa inżynierskie i był czynnym w dalszym ciągu przy dyrekcyach inżynierskich w Brixen i Tryeście. Od roku 1895 do 1896 wykładał w Akademii wojennej w Wiedniu „naukę oblężniczą“. W r. 1897—1898 był dyrektorem inżynieryi w Mostarze, następnie przez kilka lat należał do sztabu 43 p. p. Wkrótce potem został komendantem oddziału kolejowego i telegraficznego. W 1897 r. zamianowany został generał-majorem i objął komendę nad 72 brygadą piechoty. Zamianowany komendantem twierdzy w Piotrowaraździnie, tę samą funkcyę pełnił potem w Komarnie, a od roku 1912 w Krakowie.

Stanowisko Ekscelencyi Kuka, jako komendanta twierdzy przejdzie bezsprzecznie do historyi. Ekscelencya Kuk potrafił bowiem i potrafi, jak nikt inny, pogodzić odpowiedzialne stanowisko najwyższego wodza twierdzy z żywotnymi interesami ludności cywilnej. Znamianuje Go rozległy horyzont myśli, znajomość sztuki wojennej, a co najważniejsze, rozległy horyzont życia społecznego, które w najcięższych warunkach wojennych — aczkolwiek bije słabem tętnem — jest jednak pierwszorzędnym elementem moralnej siły państwa, jest najpozytywniejszą ideą wspólnego interesu, najrealniejszą racyą stanu, potężną nadzieją i pewnością ostatecznego zwycięstwa.

Tak pojmuje swe stanowisko Ekscellencya Kuk i to jest niewymowną zaletą wielkości Jego umysłu.



Komendant twierdzy krakowskiej: J. E. jenerał-zbrojmistrz Karol Kuk. (C. k. nadw. fotograf Henner)

Wielkanoc polskich wygnańców.

(Do illustracyi tytułowej).

Korespondencya własna „Nowości Illustrowanych“.

Przerów, 9. kwietnia 1915 r.

Już pół roku spędzamy czas na wygnaniu. Przeżyliśmy tu święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc. Te chwile najuroczystsze w roku, najweselej spędzane u nas w Polsce w kółku rodziny i przyjaciół, teraz wypełnione były smutkiem i łzami. I czyż mogło być inaczej, gdy brakło nam ojców, mężów lub braci. Jedni może już nie żyją, drudzy mrą gdzieś w cierpieniach z ran, albo głodu i niemocy. Nikt nie śmiał składać życzeń, każdy bał się spotkać znajomych, aby uniknąć tak przykrych wzruszeń. Na ustach wszystkich było jedno życzenie: „lepszych czasów“, „rychłego powrotu do kraju“, „oby te święta były ostatnie na wygnaniu“. Tak wymownych i szczerych życzeń może nigdy sobie nie składaliśmy.

Nie zapomnieliśmy tu również o naszych polskich tradycyach. Za inicyatywą i staraniem księdza kanonika Łozińskiego, proboszcza polskiej parafii w Przerowie, p. Małka z Przemyśla i p. Westfalewicza, odbyło się „święcone wielkanocne“. Ceremonii tej dokonał ks. kan. Łoziński w Wielką Sobotę po południu, następnie w krótkiem przemówieniu przedstawił obecną chwilę. Pokrzepiał on nadzieją, że jak Chrystus zmartwychwstał, tak „Polska zmartwychwstanie“ i będziemy mogli z radością głosić całemu światu: „Polska żyje“. I przenosił nasze dusze do naszego kraju, do naszych miast, wiosek i zagród...

W same święta Wielkanocne odprawiał nabożeństwa inny polski kapłan, a nie nasz proboszcz, co nas zaintrygowało. Odprawiający w drugie święto sumę ks. Żarnowski wygłosił piękne kazanie. — Wspomniał, jak u nas kapłani zwykli byli z ambony składać swoim parafianom życzenia, co teraz byłoby niedorzecznością. Oświadczył również, że nasz proboszcz rozmyślnie usunął się od sprawowania nabożeństw (objął służbę Bożą w tutejszym szpitalu) gdyż nie czuł się na siłach, aby zapanować nad wzruszeniem, gdyby do nas przemawiał. Po tem wyjaśnieniu krew w żyłach żywszem tętnem uderzyła, odezwało się jakieś uczucie miłości i wdzięczności dla naszego duszpasterza.

Następnie ks. Żarnowski mówił o naszej Ojczyźnie zalanej krwią, zniszczonej pożogą wojny, o dniu powrotu do kraju. Kiedy nam Bóg wrócić pozwoli, czy zastaniemy tam nasze chaty, naszych krewnych i przyjaciół. Może wielu z nich zginęło najniewinniej od zbłąkanych granatów, a kto tego uniknął, może go strawi głód lub mór. Wreszcie skończył życzeniem, aby dzień naszego powrotu był dniem Zmartwychwstania Wolności.

Kazanie wywarło na słuchaczach głębokie wrażenie. Rozrzewniły się serca i u wszystkich zaświeciły w oczach łzy nieukojonego żalu. Nikt nie oparł się wzruszeniu, gdy zabrzmiała potem pieśń „Przed oczy Twoje Panie winy nasze składamy“ i „Boże coś Polskę“.

Po sumie odmówił kapłan z ludem modlitwy za poległych braci, zaintonował „Swięty Boże“, a potem gorzko zapłakał.

Po nabożeństwie opuszczali wszyscy kościół w milczeniu i powadze, z sercem rozrzewnionem, wzruszeni i przejęci do głębi.

Na zakończenie należy jeszcze podnieść cześć i wdzięczność, na jaką zasługuje ks. kanonik Kazimierz Łoziński, który spełnia jedno z trudniejszych zadań na wygnaniu, jest dochownym ojcem Polonii w Przerowie.

W pierwsze święto Wielkanocne po południu odbył się pogrzeb tutejszego inspektora szkolnego ś. p. Ferdynanda Wańka. W oddaniu ostatniej posługi wzięli udział Polacy, w szczególności zaś delegacye polskiego komitetu dla wychodźców i komitetu nauczycielskiego.

Zmarły był człowiekiem zasłużonym w tutejszem mieście, powszechnie lubianym i szanowanym. Był przyjacielem Polaków, jak cała tutejsza inteligencya, a szczególną opieką otaczał polskie nauczycielstwo, którego sprawy bardzo życzliwie popierał.

Cześć Jego pamięci! *J. G.*

Na ofiary wojny.

Każdy medal ma dwie strony... I wojna, choć znaczy swój ślad krwią i pożogą, ma drugie obli-


RADA OKRĘGOWA
Władz Obywatelskich w Zagłębiu Dąbrowskiem.
Kwit na 3 (trzy) Kopiejki
1. Równowartość kwitów złożona jest w Banku Handlowym w Warszawie, Oddziale w Sosnowcu.
2. Kwity Rady Okręgowej w wartościach pełnorublowych mogą być zamienione czy to na gotowiznę, czy też na kwity, wypuszczone przez Bank Handlowy w Warszawie Oddział w Sosnowcu.
3. Wymiana kwitów Rady Okręgowej na walory obligowe musi nastąpić nie później niż w trzy miesiące po zawarciu pokoju przez państwo Rosyjskie.



Wojenne pieniądze: Kwit na trzy kopiejki, wydany przez Radę okręgową Władz Obywatelskich w Zagłębiu Dąbrowskiem.


Kwit niniejszy na Kopiejek pięćdziesiąt, z powodu braku płynnej gotowizny, wydał Bank Handlowy w Warszawie Oddział w Sosnowicach Dąbrowsk. T-wu Wzaj. Kredytu w Dąbrowie i obowiązuje się po powrocie normalnych stosunków pieniężnych w Kraju wymienić okazicielowi kwit ten na monetę państwową.
Sosnowice. ...go Sierpnia 1914.
BANK HANDLOWY w WARSZAWIE ODDZIAŁ w SOSNOWICACH.
Kwit niniejszy Banku Handlowego w Warszawie Oddziału w Sosnowicach wydaliśmy zamiast gotowizny i ręczymy, że okazicielowi będzie zamieniony na monetę państwową, po powrocie normalnych stosunków pieniężnych w Kraju.
Dąbrowskie T-wo Wzajemnego Kredytu w Dąbrowie.
Kwit ten bez własnoręcznych podpisów pełnomocników Banku Handlowego i Tow. Wzajemn. Kredytu w Dąbrowie jest nieważny.
BANK HANDLOWY w WARSZAWIE
ODDZIAŁ w SOSNOWICACH
BANQUE DE COMMERCE A VARSOVIE SUCCURSALE A SOSNOWICE
268539

Wojenne pieniądze: Kwit na 50 kopiejek, wydany przez Oddział warszawskiego Banku Handlowego w Sosnowicach.

cze, pełne miłości bliźniego i poświęcenia... .Gdy jedni sieją śmierć w walce o lepszą przyszłość — inni z tem większem odczuciem otaczają opieką nieszczęsne ofiary tego dziejowego dramatu. Gdy zagrzmią armaty, panem świata staje się mężczyzna — on walczy, zwycięża lub ginie na polach bitew, ale wtedy właśnie otwiera się olbrzymie pole szczytnej działalności dla kobiety, która staje się aniołem opiekuńczem tej „doliny łez“, w którą zamienia wojna nawet najszczęśliwsze kraje...

A cóż dopiero mówić o Polsce! Tu, w tem wielkiem żniwie śmierci i zniszczenia, są pokłosiem nie tylko żołnierze, ale kobiety i dzieci. Giną pod gruzami swych domów i chałup i giną na tułaczce. I oto ta polska kobieta, która przeżywa wojnę swem własnem cierpieniem, z całą kojącą tkliwością kobiecego serca niesie lek cudowny na krwawiące rany naszego narodu.

I krzewi się bujnie ta zbożna praca dobrych rąk kobiecych — krzewi się wszędzie, gdzie tylko może... Szczególniej tu, w grodzie prastarym Jagiellonów — w Krakowie — działalność czcigodnych pań naszych w stokrotny plon rozkwita.

Na płonnej niwie tej humanitarnej pracy należy podnieść działalność komitetu pań, które w myśl odezwy księcia biskupa Sapiehy podjęły akcyę celem ulżenia doli ofiarom wojny — wygnańcom i naszym biednym uchodźcom. Komitet ten, na czele którego stoją bar. Hagenowa i prez. Leowa, rozwinął w Krakowie energiczną działalność. Między innemi zorganizowano zbieranie odzieży po mieście na rzecz wydziedziczonych ofiar wojny, a przytem komitet zabiega o zdobycie funduszów, urządzając co niedziela podwieczorki w sali hotelu Saskiego.

Porwane uczynną a niezmordowaną pracą starszych pań, młode serduszka naszych panienek — te serduszka zawsze czułe na każdą dolę i niedolę — w serdecznej swej trosce o miłą rozrywkę dla naszych dziatek, zainaugurowały na podwieczorku ubiegłej niedzieli zabawę dla dzieci, pełną miłych niespodzianek. Komitet panieński, złożony z pp.: Kossakówny, hr. Morstinówny, Maryi Pileckiej i hr. Sapieżanki, osiągnął pełny sukces. I dziatwa i starsi bawili się wesoło, unosząc mile w sercu wspomnienia tej niekłamanie wykwintnej zabawy. Należy też przypuszczać, że to dobre ziarno, rzucone z taką wiarą i miłością przez nasze urocze panienki, rozwinie się i znajdzie oddźwięk w najszerszych kołach naszego społeczeństwa. W rozradowanych tą zabawą dziecięcych twarzyczkach przebijała się tęsknota i gorąca prośba o dalsze podobne rozrywki, a nie wątpimy, że tym dziecięcym prośbom tkliwe serduszka komitetu panieńskiego nie odmówią.

Dzieci ofiarą wojny.

Szpital polowy 4/2, w którym swego czasu była operowaną bohaterka z Rawy ruskiej, Róża Ceniuch,



Na ofiary wojny: Komitet panieński zabawy dla dzieci na podwieczorku w sali hotelu Saskiego w Krakowie.




Z wojny: Francuski aeroplan z karabinem maszynowym.

posiada w swem leczeniu dwoje dzieci, które wskutek zranienia strzałowego doznały ciężkiego złamania szczęki. Obydwa dziewczątka w wieku 7 i 14 lat są ulubienicami pacyentów i lekarzy wojennego szpitala dentystycznego IV. armii austryackiej i czują się znakomicie. Starsza, Maryanna Jamruz, pochodzi z Ciężkowic pod Tarnowem, młodsza, Stefcia Radomska z Rude-Rysie pow. Brzesko. Komendantem szpitala jest od samego początku wojny lekarz sztabowy, profesor uniw. wiedeńskiego dr. Julian Zilz, Lwowianin. Asystentami są: dr. Schwabe i dr. Klagsbrun, oraz dwóch medyków i sześciu techników.

Jest to w obecnej wojnie światowej pierwsza klinika w polu dla strzałów szczękowych, a urządzenie tak bardzo pożytecznego instytutu zawdzięcza nasza armia lekarzowi jeneralnemu, drowi Zdzisławowi Juchnowicz-Hordyńskiemu, Krakowianinowi, który dał posłuch propozycyom prof. dra Zilza.

Zakład, znajdujący się w polu, udziela natychmiastowej pomocy lekarskiej w wypadkach strzałów szczękowych.



Na ofiary wojny: Uczestnicy i uczestniczki zabawy na podwieczorku w hotelu Saskim w Krakowie.

JÓZEF LASOŃ.

KWATERA Nr. 150.

(Ze wspomnień Legionisty).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

IX.

Przez zakratowane okno widać padające, białe płatki śniegu, jakby ptaków rajskich puch, coraz gęściej z niebios się sypiący. Iskrzy się śnieżny płatek, jak dyament mieni — uchwycisz go w dłoń, kropelka wody — i nic. Zniknie ci jak sen, rozpłynie się w kroplę wody, jak duch w mgłę.

Sypie się płatek za płatkiem, szara ziemia szatą się białą okrywa, jakby na ślubne kobierce wstąpić miała z umieszczoną w przestworzach niebieskich planetą, z księżycem.

Grudniowy, piękny poranek.

Na aresztankiej pryczy legło nas kilkunastu z zadowoleniem, bo i piec blizko, cieplej jest. Na ziemi słomy moc, kilkudziesięciu śpi na niej żołnierzy. Choć już i słońce wyjrzało i dzień jasny się rozpoczął, żołnierz leniwie rozwalony wypoczywa. Wypoczynkowa to kwatera.

„Stary Sąd, kwatera nr. 150“.

Grube, stare mury chronią od zimna, ciepło tu i błogo. Sala ta, jak widać, do połowy na areszt służyła, w drugiej kancelarya musiała być umieszczona, bo i okna duże, światła wiele wpuszczały, podczas gdy druga połowa zaledwie jedno okienko podwójną kratą opatrzone miała.

Teraz z niej kwatera wypoczynkowa, polski żołnierz po trudach i znojach w niej odpoczywa, aby do dalszej walki siły nabrać!

— Ósma godzina, wstawać — woła komendant kwatery Berek — po śniadanie trzeba iść. Dyżurny zrzucać wszystkich z legowisk, porządek robić!

Ale dyżurny chrapie jak najlepiej. Nie wzruszają go ani prośby, ani groźby kwatermistrza, dopiero pociągnięty gwałtownie za nogę, przeciera oczy, zaspanym wzrokiem ciągnie wokoło.

— Niby, co jest? — pyta.

— Dyżur dziś na was przypada! Wstawać, budzić wszystkich, po śniadanie iść trzeba.

— Dobrze, dobrze — odpowiada i kładzie się z powrotem na słomę.

— Chuderski! auf! auf! Tu nima śpasu — krzyczy nad nim.

Wstaje nareszcie, ostro się zabiera do wylegujących żołnierzy, przemocą zrzuca z posłania, mrucząc:

— Ja nie śpię, nie będziecie i wy spać!

Słomę równiótko układając, zamiata salę, przez otwarte okna wpada prąd świeżego powietrza, odświeża ją. Już wszyscy powstali, czyszczą menażki, tylko my na pryczy leżymy, gdyż to uprzywilejowane miejsce. Sama starszyzna tutaj wyleguje się, ba, nawet trzy sienniki są i koce do nich. Królewskie to ci spanie. Wprawdzie na tych gołych deskach trochę twardo spać, ale bezpiecznie... blondynki i brunetki nie napastują cię tak, jak tam na ziemi, na słomie.

Wyznaczeni dyżurni z kuchni, będącej przy rynku w Jabłonkowie, przynieśli dwa kotły herbaty i chleb. Ale i przy wydawaniu trzeba porządek utrzymać. Godzik usiadł za stołem, notuje, kto dostał swoją porcyę, Chuderski zaś wywija chochlą w powietrzu, udziela herbaty i podaje nazwisko biorącego Godzikowi.

— Jak się nazywacie? — pyta świeżo biorącego.

Ten jednak czy nie zrozumiał pytania, czy też z figlów odpowiedział:

— Danke schön!...

— Zapiszcie tam — zwraca się Chuderski do Godzika — Teraz wziął obywatel Dankeschön!

Naturalnie śmiech powstał na sali, Chuderski patrzy się na nich, jak na waryatów, w końcu i on zrozumiał, o co idzie.

— Dankeschön, zapiszcie tam — nabierają go.

— Cóż, nie może tak się nazywać?

— Ależ może! może! — zapewniam go — nawet tak jest zapisany.

Napalono w olbrzymim, żelaznym piecu, ciepło przyjemne rozchodzi się po kwaterze. Na pryczy kilkunastu leży, opowieści i przygody zaczynają wzajem opowiadać.

Godzik przy oknie siadł, lipowe skrzypki ujął w dłoń i płyną tęskne, żałosne melodye. Przesuwają mi się postacie żołnierskie przed oczyma.

Ten cichy, spokojny, rysujący coś kredkami na arkuszu papieru młodzian, to Zarzycki. Patrząc na jasne jego oczy, ma się wrażenie, że dziecięcia to wzrok. A dzielny to żołnierz. Pod Laskami w październiku, z plutonem wstrzymał półtorej kompanii piechoty nieprzyjacielskiej, póki pomoc nie nadeszła. Siedmiu ich z plutonu zostało.

Płyną powoli godziny, opowiadaniami przygód urozmaicone.

Grottgerowski to zaiste obraz! Żywy grottgerowski obraz: Stare więzienie, w niem polski żołnierz zadumany, broń zamienił na skrzypce, tam znów grupka, żywo przygody swoje opowiadająca. Przez okratowane okno promyki słoneczne przekradają się i przebiegają po twarzach żołnierzy. W pośrodku nowozaciężny rekrucik, Ślązak, karabinem macha, uczy się z zajęciem, bo chce jak najprędzej w pole wyruszyć.

Zdaje mi się czasami, że w carskich kamazatach siedzim, szyldwach z nabitym karabinem chodzi pod oknem, że za naszą sprawę w więzieniu gnijem. To znów — że w podziemiach narada się rozpoczyna, tajne sprzysiężenie, szepczą i szepczą, broń na wroga kują.

Na wroga — tajne sprzysiężenie!

Przy piecu kilku siedzi, opowiadają wzajem przygody. Wysoki, kościsty, Skiba, szeregowiec z I. pułku, rozkłada rękami, o przeżytych dniach w niewoli rosyjskiej opowiada.

— Wiecie, pod Laskami, przy odwrocie obtarłem sobie nogi, tak, że kroku postąpić nie mogłem, kompania moja żwawo maszerowała, początkowo podążyć chciałem za nimi, ale niesposób. Siadłem przy rowie, zdeterminowany ze wszystkiego. Iść dalej nie mogę, nogi strasznie dokuczają, a tu lada chwila Moskale mogą nadciągnąć i już po mnie. Postanowiłem odpocząć trochę, a potem dostać się do najbliższej wsi, ubranie cywilne kupić i powoli wydostać się z linii ognia. Na przypadek zaś, gdyby zaszli tu Moskale, postanowiłem się bronić do ostatniego naboju. Znużenie jednak ogarnęło mnie i zasnąłem. Jak długo spałem, nie wiem, dość, że późno już w noc było, kiedy przebudziły mnie krzyki i szarpania za rękę i głowę. Przestraszony chciałem się zerwać, silne jednak ręce przytrzymały mnie, zciągnięto ze mnie pas z bagnetem, tornister, zrewidowano kieszenie. Wpadłem w ręce moskiewskiej patroli. Bodaj ich pokręciło, co te szelmy ze mną wyrabiały. Po długich ceremoniach dostałem się z partyą jeńców do Jarosławia. Ja i dwóch jeszcze żołnierzy austryackich spaliśmy w stodole, przez cały czas transportu nasłuchawszy się rozmaitych docinków i wyrażeń od prowadzących nas żołnierzy, snuliśmy smutne obrazy przyszłych dni, które przepędzimy Bóg wie gdzie, i w jakich warunkach. Stodoła była murowana, szczelnie zamknięta, wydostać się z niej nie łatwo było, a zresztą żołnierz na warcie stał, i w razie najmniejszego podejrzenia pośle nam parę pigułek, a to wcale nie należy do przyjemności. Zasypialiśmy, kiedy od strony miasta doszły nas strzały, początkowo pojedyńcze, potem salwami.

— Oho — szepnął leżący obok mnie żołnierz — zdaje się, że nasi napadli Jarosław, trzeba będzie spróbować, może się uda dać nura.

Przysunęliśmy się ku drzwiom stodoły, przez szpary obserwowaliśmy chodzącego na warcie żołnierza. Strzały zrobiły i na nim kolosalne wrażenie, bo chodził nerwowo koło stodoły, bacznie obserwując wkoło, nadsłuchiwał, skąd one pochodzą. Coraz wyraźniej dały się słyszeć strzały karabinowe. Nie namyślał się długo dzielny rosyjski wartownik. Dał drapaka, zostawiając nas na łasce losu. Sądził widocznie, że my sobie sami poradzimy i nie omylił się. Zaraz chwyciliśmy się do roboty. We trójkę chcieliśmy drzwi wyważyć, ale silnie zaparte były i na kłódkę zamknięte. Jeden z żołnierzy znalazł kawał grubego kołka od płotu, podźwignęliśmy drzwi w górę, wyskoczyły z zawias i z łoskotem upadły na ziemię. Niedługo wpadliśmy w ręce naszej patroli, która nas odstawiła do pułków.

— Dobrze ci tam było... He? — odezwał się ktoryś.

— Bodajby! — zaklął Skiba — przez trzy dni oprócz pół bochenka chleba, nic my nie dostali, a w dodatku, co chwila cię upewniali o swojej przychylności. Aż się niektórym z nich oczy świeciły, kiedy się dowiedzieli żem Strzelec, taką chrapkę mieli na mój żywot.

Kwatermistrz Berek przy stole siedzi, ukończył pisać raport do komendy, wyciągnął z plecaka brulion i dalej piosnki pisać. To cały jego najmilejszy odpoczynek. Z nieodstępnym brulionem wszędzie chodzi, gdzie jaką piosnkę usłyszy, notuje skrzętnie, czasami sam tworzy. Zwykle pod wieczór, po przeprowadzonym apelu, koło stołu kilku się zbierało, Berek wyciąga brulion i niby z niechęcią pyta:

— Chcecie, co? Odczytać wam, com dziś napisał?!

— Naturalnie! Naturalnie! — odzywają się głosy.

Oddycha głęboko, wiedzie wzrokiem po swoich podwładnych i w dowód łaski swej raczy odczytywać swoje utwory. Każde tam słowo o Ojczyźnie, o miłości Ojczyzny. Wiara słucha go z zajęciem, póki nie skończy całości. Majestatycznie zamyka brulion i do plecaka chce wpakować. Ale w wzroku jego widać, że ma on tam coś jeszcze napisane, tylko się boi, by ich nie znudzić, czeka, aby go poprosić. Ale swój swego zna.

— No, Berku, dalej czytajcie, bo tam jeszcze jest coś?

— E! to... takie... nic! — odpowiada niby niechętnie.

— Ale czytajcie! czytajcie!

— No, kiedy tak koniecznie chcecie, no to wam odczytam, ale spokój musi być!

— Sza... sza... sza... — uciszają grających w szachy i sprzeczających się.

Berek nadyma się „odwala kument“, jak to, niektórzy nazywają, a potem rozprawka o tem, co „wycisnął z duszy“. Tak bowiem nieodstępny towarzysz jego Kranc nazywał wszelkie piosnki.

Poczciwy to towarzysz broni. Ze wszystkiem do niego się zgłosisz — radę, pomoc zawsze da. Szczera, polska natura.

Chodzi też po sali, przysłuchuje się opowiadaniom siedzących pod piecem.

— Hej, chłopcy! — po chwili odezwał się — nowinę wam powiem!

— Jaką? Jaką? — ciekawie dopytują.

— Żołd będzie!!

— Co żołd! Hurra! Do ataku! — krzyczą i podrzucają Berka do góry. — Niech żyje Berek i żołd.

— Nie wiem kiedy, czy dziś, czy jutro, ale w tym tygodniu z pewnością!

— Ale wiecie, wiecie! — twierdzą, widząc uśmiechnięte oblicze Berka.

— No tak. Dziś będzie, tylko spis muszę dać!

Radosne okrzyki były odpowiedzią.

Podchodzi do mnie Weiss, żandarm polowy i dalej groźnie mamrotać językiem:

— Obywatelu, zapraszam na bal! Z okazyi urodzin żołdu, wydaję bal i połowiznę przeznaczam na uroczysty obchód.

Obraca się wyniośle, królewską przybiera pozę i zwraca się do Kulczyka:

— Sekretarzu Pierścionku, na aksamitnym papierze, jedwabnymi zgłoskami wydrukuj odpowiednie zaproszenie, dla dostojnych gości, których ci butem wskażę, albowiem obie ręce na temblaku noszę! Ale zaznaczam z góry — zwrócił się do otaczających go obywateli — li tylko tego za godnego uznaję, kto się szlachectwem wykaże, czyli wyraźniej mówiąc, dołoży się z pieniędzmi.

Kilku przyłączyło się do nas i rozpoczęło się przygotowanie do balu.

Szeroko omówiono program i z niecierpliwością czekano na powrót kwatermistrza, który do komendy udał się po żołd.

Za ten czas przyjmować poczęliśmy wizyty codziennych gości. Punktualnie o godzinie 10-ej rano zjawiała się posłaniec od nadobnej kucharki „od państwa z góry“ z zapytaniem, czy herbaty nie chcemy ugotować, bo w kuchni jest ogień, tylko nastawić wody trzeba. Amatorów na „czaj“ nigdy nie brakowało. Podziękowawszy z góry za dobroć, zamówiliśmy dwa kociołki wody, tylko olbrzymich rozmiarów, z powodu balu, który dziś ma się odbyć.

— Cóż to, imieniny panowie odprawiacie, czy jakąś uroczystość — pyta zaciekawiona kucharka!

— O, gorzej! — odzywają się głosy.

— Gorzej! A cóż to takiego? — wielce zaintrygowana pyta.

— Od dnia dzisiejszego — odpowiada swawolnie Weiss — aż po dzień, póki nam zginąć nie przyjdzie, lub póki w stanie zbrojnym będziemy, żołd będzie nam wypłacon, aby drobiazgi zawsze były, jako to: tytoń, mydło, „czaj“ i inne tego rodzaju przyjemności!

— A tak! — uśmiechnięta odpowie i leci chyżo na górę do pani, aby zdać jej „raport“.

Po chwili pukanie we drzwi, silne, znajome. Leci jeden i drugi, aby drzwi otworzyć, zacnemu gościowi się przysłużyć. To codzienny nasz gość, który obdarza nas papierosami, fabrykant tutek z Krakowa pan B.

— Dzień dobry, chłopcy! — uśmiechnięty mówi.

— Cześć! Cześć! — rozlegają się głosy.

Przy stoliku usiadł, rozmowę toczy z nami, dopytuje się o szczegóły walk.

— Widziałem 63 rok — opowiada nam smutnie — i Bóg mi pozwolił dożyć do tego roku, gdzie znowu widzę polskiego żołnierza.

Siwa jego głowa pochyla się w zamyśleniu. Po

chwili wyciąga z kieszeni dwa pudełka papierosów i daje do podziału.

— Kiepskie te papierosy — mówi — ale jakie mogę, takie daję.

— Znakomite, wyborne, panie obywatelu! — przerywają mu, dziękując przy tym szczerze.

Codziennie na pogawędkę do nas wpadł, serdeczne rzucił słowo, jakby ojcem nam był. Nic też dziwnego, że z utęsknieniem czekano na jego przybycie.

Książek i gazet dostarczał niestrudzenie, dopytując się ustawicznie, czy czego nam nie potrzeba.

Wygadała się wiara przed nim o balu i dalej zapraszać go na tę uroczystość. Wydobył dwie korony, położył na stole jako dodatek, abyśmy przyjęli. Nie chcieliśmy przyjąć pieniędzy, ale po zapewnieniu, że i on przyjdzie na tę uroczystość, przyjęliśmy wreszcie.

— A kiedyż to będzie? O której godzinie?

— Niewiadomo jeszcze, ale my pana obywatela zawiadomimy — odparł Weiss.

— Nie wiem, czy będę w domu!

— Zaczekamy z rozpoczęciem.

— E, co to to nie! Jakoś to już będzie!

Pożegnał się z nami, uścisnął serdecznie ręce wyciągnięte do niego i wyszedł. Sc... ordynans kwatermistrza, wyjrzał przez okno, patrząc czy nie nadchodzi Berek z żołdem.

— Pewnie uciekł do Ameryki — śmieje się.

— E... z paru koronami nie opłaci się... zresztą trudno się teraz dostać.

Wysłana patrol z tryumfem przyprowadziła Berka, który z miną zwycięzcy do sali wszedł, brzecząc pieniądzmi w kieszeni.

— Za pierwsze cztery dni z góry po 32 halerze dziennie wypłacono dla was!

— Z góry, a z dołu by się coś patrzyło — Skiba wtrącił — za cztery miesiące z okładem i coś tam jeszcze!

— Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr — odpalił mu Weiss.

Po siedmdziesiąt dwa centy każdy w garści trzyma, ogląda każdego halerza ze wszystkich stron i ci, którzy do balu się przyłączyli, składają wspólnie do czapki Weissa po dwa szóstaki.

— Ondynars — zawołał Weiss na Sc. — tutok chodź.

— Niby, co jest? — odparł zawołany.

— Kupisz to wszystko, co tu jest wypisane, a w nagrodę bezpłatnie korzystać będziesz z programu.

W dwóch kotłach zagotowaną herbatę przyniesiono do kwatery, zalano obficie rumem. Na stole świeżutkie bułeczki pszeniczne, olbrzymi kawał salcesonu i pudełko papierosów w pośrodku. Uczestnicy obsiedli stół dokoła, Berek dzieli salceson na równe części, Sc... nalewa do manierek herbatę. Naturalnie śmiechy, opowiadania, pieśni krążą wesoło, nadzieja lepszej przyszłości zjawia się.

— Zdrowie nieobecnego obywatela pana B., naszego opiekuna — wznosi okrzyk jeden z biesiadników.

— Zdrowie! Niech nam żyje!

— I papierosy zawsze nosi! — dorzuca tam któryś.

Prowianty szybko znikły ze stołu, czaj został aż do dna wypity, uroczystość zakończyła się. Obiadu naturalnie już nikt nie jadł, gdyż syci byli wszyscy, herbatą uraczeni.

O drugiej wizyta lekarska. Lekarz zbadał każdego i przeznaczał go, czy to do szpitala, czy do supperrewizyi, czy też do pozostania jeszcze na kwaterze. Zdrowych i wypoczętych codziennie odsyłano do pułku, tak, że nowi goście co chwila do kwatery przybywali i odchodzili.

Po wizycie lekarskiej pożegnanie wracających do pułku, przeznaczonych do szpitali, a potem, o ile dzień ładny, spacer po okolicach Jabłonkowa, po uroczych wzgórzach i lasach otaczających miasteczko. W pochmurny jednakże dzień, na „pryczy" towarzystwo skupiało się i tam zabawiali się jedni w karty, drudzy w domino, szachy.

Jednakże chciwie każdy nadsłuchiwał wiadomości z pola walki, jak tylko kto z komendy placu przyszedł i począł cośkolwiek opowiadać, już wszyscy koło niego, dalej dopytywać się, czy ten a ten batalion jest w ogniu, jakie straty tej a tej kompanii. Wiadomości te gorączkowały i podniecały nastrój. Jeśli była wiadomość o której kompanii, że jest w ogniu, już kilku maruderów usiedzieć nie może spokojnie, tylko poczyna się zbierać, aby się zgłosić w komendzie, że chcą do linii wrócić.

Koło pieca znów oblężenie. Teraz wojenne „kawały odchodzą", salwami śmiechu popierane. Kucharz z II. batalionu, Kuc, skupił garstkę koło siebie, opowiada im chwile pobytu w szpitalu w Cieplicach, gdzie przebywał parę tygodni:

— Koło mnie — opowiadał — leżał ciężko ranny Legionista, obydwie nogi poszarpane miał przez szrapnel. Jęczał ustawicznie, tak, że przykro było słuchać tych jęków, jednak przytomny był zawsze. Raz przychodzi do niego doktór B. i aby go pocieszyć, opowiada mu najświeższą anegdotkę: „Na polu walki, po bitwie, mnóstwo rannych i zabitych pokryło pole. Zdarzyło się, że obok siebie trzech żołrzy legło. Austryacki żołnierz, Moskal i Legionista. Moskal począł strasznie jęczeć i płakać. Legionista, który miał poszarpane nogi, zwrócił się do Moskala i spytał:

— O cóż ty płaczesz?... He?

— Boli... strasznie boli! — jęczał Moskal.

— To nie wstyd ciebie, żołnierza, byś płakał. Żołnierz ukryć powinien ból i łzę.

— Cóż zrobić, jak wytrzymać nie mogę! Oj... joj... joj...

— Ta patrz tu — pociesza go Legionista — ten austryacki żołnierz więcej cierpi od ciebie, bo ma urwaną głowę, a przecież nie płacze, ani nie jęczy!"

— Bycze! Bycze! — rozlegają się głosy śmiejących.

Ale i Skiba nie chciał pozostać w tyle. Podparł się pod boki i ruchem ręki uciszył śmiejących się, by rozpocząć anegdotkę:

Pod Przemyślem, po pierwszem oblężeniu, jak wam wiadomo, około dziewiędziesiąt tysięcy padło Moskali. Ciała poczęły się rozkładać, smród obrzydliwy rozchodził się po polach. Załoga przemyska żwawo musiała się wziąć do roboty, aby pochować ciała poległych. I zdarzyło się, że podczas kładzenia poległych do wspólnego grobu, ocknął się jeden z nieboszczyków, gdyż omdlały tylko był, i przerażony, kiedy ziemię poczęto na niego sypać, począł krzyczeć:

— Ależ panowie! Na miłość boską! Przecież ja jestem żywy!...

Na to mu odpowiada jeden z grabarzy:

— Wy wszyscy tak cyganicie — i sypie w dalszym ciągu do grobu ziemię.

— Ja to inaczej słyszałem — poprawia go Weiss.

— Jak było?! Inaczej! Gadaj Weiss!

— Podczas sortowania ciał na pobojowisku, doktorzy badali każdego, nieboszczyków znaczono krzyżem. Przychodzili saniteci i sortowali ciała. Osobno poległych, osobno rannych. I podczas takiego przenoszenia ocknął się jeden z nieboszczyków, a widząc, że go pakują do grobu, przerażony mówi:

— Panowie, ja żywy jestem!

Niosący go odpowiadają:

— Gadaj bracie do maja! Lekarz ta wie lepiej od ciebie!

Śmiech zwabił z legowisk i innych obywateli, którzy z zajęciem poczęli się przysłuchiwać anegdotom, dodając swoje uwagi.

— W jednej kompanii — opowiadał Weiss dalej — był żydek, który rozmaite interesa robił, handlował, czem się ino dało. A że przytem cyganić także lubiał, nie lubieli go żołnierze i często mu dokuczali. Podczas bitwy zdarzyło się, że granat urwał obie nogi temu żydkowi. Przez pobojowisko przechodził znajomy mu sanitet; jęcząc, zwrócił się wtedy do owego saniteta:

— Przyjacielu! Przyjacielu! Ratuj!

Sanitet poznał go, a pamiętając szachrajstwa jego, przemówił:

— Widzisz bratku, jak cię dostało. Cyganiłeś nas całe życie, leżże sobie teraz, niech cię szachrajstwa twoje ratują!

— Przyjacielu! Ratuj!

— Niema głupich! Abyś nas potem jeszcze więcej cyganił!

— Przyjacielu, weź mnie na plecy, zanieś do lazaretu, a ja ci dam za to wszystkie pieniądze, jakie mam uskładane. Pieniądze mam ukryte. W tej chwili, kiedy mnie do lazaretu odniesiesz, oddam ci wszystkie. Ratuj przyjacielu, gdyż strasznie cierpię.

Sanitet przez chwilę namyślał się, lecz chęć zdobycia pieniędzy przemogła w nim. Wziął tedy rannego żydka na plecy i począł go nieść do lazaretu, który był oddalony o jakie trzy kilometry. Namęczył się przy tem niemało. Jednakże w drodze przeleciał obok nich granat, który urwawszy żydkowi głowę, o kilkadziesiąt kroków dalej pękł. Sanitet, ogłuszony hukiem, nie spostrzegł się, co się stało rannemu, którego na barach niósł. Zdyszany, zmęczony, przybył wreszcie do lazaretu i rzekł do kolegów:

— No, chłopcy! Macie tu naszego szachraja, opatrzcie mu tam nogi, a za to grube pieniądze dostaniemy.

Mówiąc to, zrzucił ciało żydka na ziemię.

— Co żeś ty przyniósł!? Kadłub? — poczęli wołać towarzysze.

Sanitet popatrzył na ciało, zaklął strasznie i rzekł zgniewany:

— Psiakrew! Cyganił nas całe życie, jeszcze po śmierci nas oszukał.

Głośne pukanie we drzwi przerwało opowiadanie. Sciwiarski podbiegł ku drzwiom i otworzył. W progu stała jakaś podeszła już wiekiem pani, która zwróciła się z pytaniem, czy jej syna niema tu na kwaterze.

— Nie, niema, proszę pani, może na innej kwaterze.

— Czy go tu wogóle niebyło?

Przeszukałem książkę kontrolną, jednakże nazwiska tego nie spostrzegłem.

— Nie, proszę pani. Na tej kwaterze wcale go nie było. Może tam wyżej o parę domów jest druga kwatera.

Podziękowała i udała się we wskazanym kierunku. Niedługo jednakże powróciła zasmucona i prosiła, stojąc we drzwiach, by obywatel Liszka na chwilę rozmowy przybył.

— Hej Liszka! Liszka! Wizyta!

Podbiegł żwawo, ukłonił się i spytał, czem jej może służyć.

— Proszę pana, byłam na tamtej kwaterze z zapytaniem o syna. Powiedziano mi jednakże, że tam go niema też, i że pan będzie wiedział coś o losie jego, gdyż był w jednej kompanii z panem.

— Tak, był — odpowiedział Liszka — ale co z nim, nie wiem.

— Czy ranny może? — z trwogą spytała matka.

— Nie wiem... proszę pani... nie wiem.

— Proszę pana — z rezygnacyą w głosie poczęła mówić — niech się pan nie bawi w sentymenta. Matka jestem, Polka jestem. Na wszystko przygotowanam. Tylko prawdę chcę wiedzieć. Niech pan bez osłonek powie. Ale wolę już najstraszniejszą pewność, niż ciągłe łudzenie się. Prawda, syn mój zabity?

— Nie wiem, proszę pani.

— Wy, panowie strzelcy, dziwni doprawdy jesteście. Czemu mi nie powiecie prawdy. Nie potom tu przyjechała, aby żyć w niepewności. Padł, mężnie ten cios zniosę. Ale zakrywanie tego daleko większe męki mi sprawia. Powiedźcież panowie — błagalnym tonem poczęła prosić. — Jedynaka miałam, jeśli padł, Polka jestem, mężnie ten cios zniosę.

Stałem oparty o framugę drzwi i wsłuchiwałem się w każde słowo kobiety, patrzącej nieustannie nam w oczy, jak gdyby w dusze nasze chciała się wzrokiem wedrzeć i prawdę wyczytać.

— Ależ proszę pani — zwróciłem się do niej po chwili — obywatel Liszka w jednym plutonie był z synem pani. Jeśliby padł syn, byłby o tem wiedział Liszka i z pewnością powiedziałby pani.

Długą chwilę rozmawiała, poczem pożegnawszy się z nami, udała się do komendy placu, aby tam zasięgnąć jakich wiadomości o losie syna.

Wieczór już zapadał, kiedy drzwi raptownie się otworzyły i wszedł ktoś do sali.

— Kwatermistrz jest? — zapytał ktoś.

Berek podszedł ku stołu i przedstawił się pytającemu.

— Proszę was, kwatermistrzu, przyprowadziłem wam Węgra na kwaterę z trzeciego pułku. Opiekujcie się nim, bo on ani po polsku ani po niemiecku nie umie.

Zaświecono lampę, Węgier począł się witać, podając rękę po kolei wszystkim. Szczupły brunet, o twarzy inteligentnej, dobre czynił na nas wrażenie. Zaraz wyszukano mu legowisko na pryczy, a potem uraczono go herbatą na przywitanie.

Coś nie coś po polsku rozumiał, poczęli go niektórzy uczyć polskich wyrazów. Po kilku godzinach żył się już z nami, każdy chciał mu coś dobrego wyświadczyć.

— Madziaro! cygareto! — roześmiał się Weiss, podając mu papierosa.

Godzik zawarł odrazu przymierze, na migi poczęli rozmawiać.

— Madziaro — mówi mu Godzik — mów za mną: Chrząszcz brzmi w trzcinie.

— Chsąc bzi... w Cieszynie!

Śmiech głośny na sali.

— Nie w Cieszynie — poprawiano go — ale w... trzcinie!

— Igen... igen... — potrząsa głową Węgier — Cieszynie, Cieszynie... Teschen — i pokazuje ręką w stronę miasta Cieszyna.

Zaczyna na migi tłómaczyć, co to jest po polsku Cieszyn, a co trzcina. Zniecierpliwiło go to i pół gniewnie do Grodzika przemówił:

— Ty, ja jestem osioł!

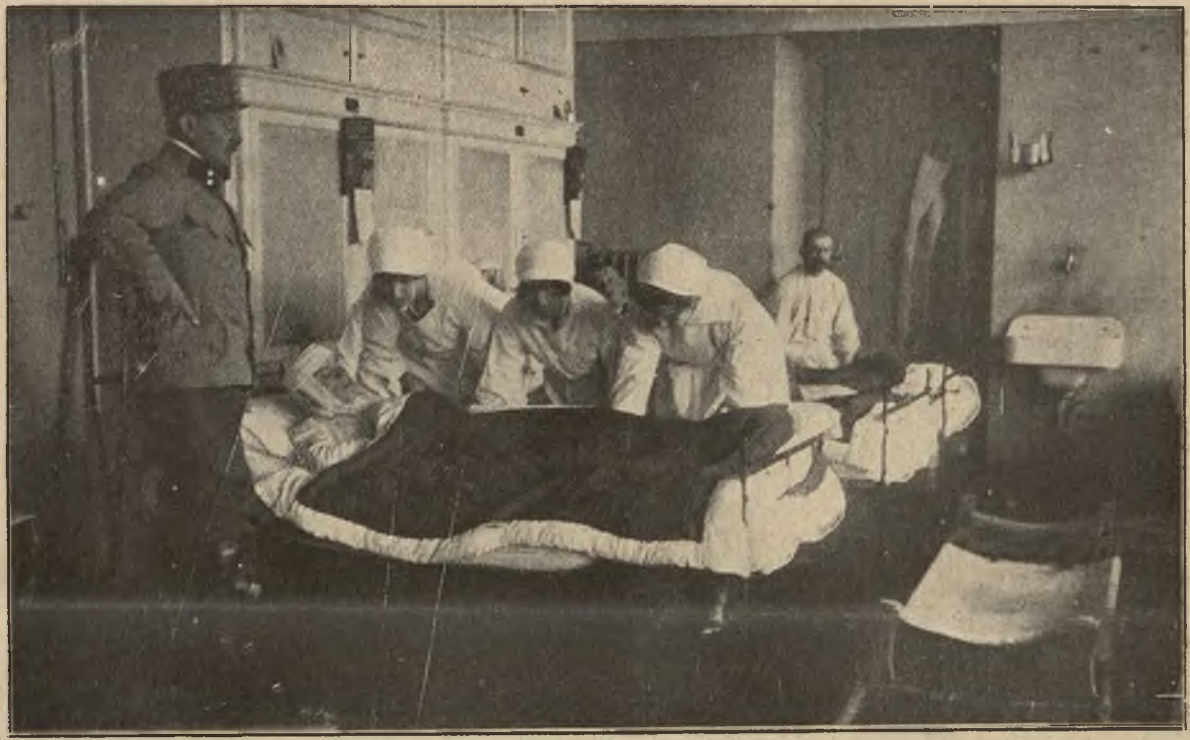
— Jak ty, to nie ja! — odpowiada mu Godzik.

(Dokończenie nastąpi)

Nowoczesna medycyna wojenna.

Pozornie zdawaćby się mogło, że z powodu ogromnego wprost rozwoju chirurgii pokojowej i operacye na wojnie będą coraz to częstsze. Tymczasem rzecz się ma odwrotnie, bo właśnie obecnie stosunkowo operuje się mniej, lecz zato wykonywa zabiegi i ratuje chorych takich, którzy dawniej bezwarunkowo zginąćby musieli.

Natomiast względem ran postępuje się o ile możności zachowawczo, a dotykanie ich palcami, sondowanie, szukanie kuli i t. p. jest po prostu błędem. Na lepsze gojenie się obecnie ran wpłynęło przedewszystkiem dobre zorganizowanie transportu chorych, jako też dokładne zakładanie pierwszego



Nowoczesna medycyna wojenna: Pielęgniarki przenoszą ciężko chorego.



Nowoczesna medycyna wojenna: Badanie mikroskopowe.

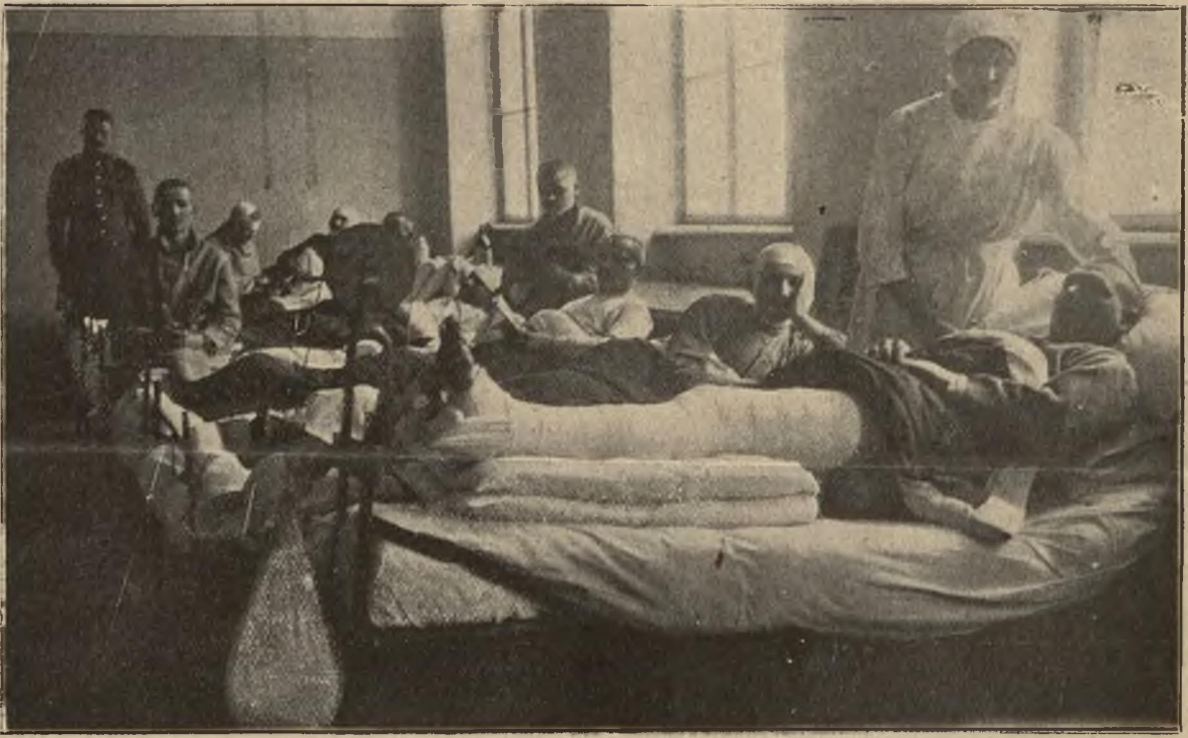
opatrunku na placu boju, od czego nieraz dalszy los i życie ranionych zależy.

Nowoczesne szpitale wojenne urządzone są według najnowszych pojęć aseptyki. Do operacyi lekarze ubierają się w specyalne, wysterelizowane ubiory, składające się z czapki z maską (celem wstrzymania od rany ewentualnie cząstek śliny), płaszcza, rękawiczek i kaloszy.

Jedna z rycin, zamieszczonych w niniejszym numerze, przedstawia właśnie typową operacyę podług nowoczesnych wymogów aseptyki na oddziale starszego lekarza, operatora dra A. Klęska.

Wielce pomocnymi w leczeniu i rozpoznawaniu uszkodzeń okazały się w pierwszym rzędzie promienie Roentgena. Przy pomocy tych promieni wybadano złamanie w łokciu, co uwidocznionem jest na drugiej illustracyi. Złamania leczy się obecnie tak zwanym wyciągiem, ewentualnie opatrunkami gipsowymi.

Troskliwą opiekę w szpitalach zawdzięczają chorzy u nas naszym paniom, poświęcającym się samarytanizmowi.



Nowoczesna medycyna wojenna: Leczenie złamań wyciągiem.

Wszystkie najnowsze zdobycze nauki wciągnęła obecnie medycyna dla wojny, a chirurgia polowa poszczycić się może właśnie tem, że operacye obecnie dążą do tego, by nie tylko ratować życie bohaterów naszych, ale chronić ich od kalectwa. — Amputacye n. p. kończyn obecnie wykonywa się bardzo już rzadko, bo w wielu wypadkach ratuje się kończynę tam, gdzie dawniej wykonanoby odjęcie.

Z pomyślnym skutkiem operuje się obecnie postrzały czaszki, mózgu, płuc, serca, jamy brzusznej i wielu rannych ratuje się w ten sposób od niechybnej śmierci. Również zapobiega obecnie medycyna choć w części kalectwu nieszczęśliwych ciężko rannych, przez podawanie im w miejsce odjętych członków znakomitych nieraz protez, to jest sztucznych kończyn, przez uczenie pracy jedną ręką, zwłaszcza lewą, wszczepianie nowych kości, stawów, zakładanie sztucznych szczęk i t. p.

Oprócz ran czyhają na żołnierza w polu jeszcze inne choroby, może więcej zdradzieckie i niebezpieczne, to jest cholera, tyfus brzuszny, tyfus plamisty, ospa, dyzenterya i inne choroby zakaźne. Ciężkie warunki hygieniczne, wysiłki fizyczne i moralne przyczyniają się do tego, że organizm żołnierza staje się mało odpornym przeciw powyższym chorobom. Dlatego też nauka wysila się na różne zapobiegawcze i lecznicze środki i zdołała stworzyć surowicę, to jest ideał, do którego zmierza medycyna.

I tak rozporządzamy dzisiaj już surowicami przeciw wspomnianym chorobom.

Nie są to jeszcze te idealne surowice, o które właściwie chodzi, ale w każdym razie i tak niespo-



Odznaczenie dzielnego kolejarza: Naczelnik stacyi lwowskiej, Gilek, przypina srebrny krzyż zasługi Julianowi Blicharskiemu, nadkonduktorowi kolei państwowej.



Z teatru wojny: Artylerya francuska na pozycyi.



Nowoczesna medycyna wojenna: Zdjęcie roentgenowskie złamania w łokciu.

żyte oddają one usługi, jak to wykazuje statystyka dzisiejszej wojny.



Bunt w armii angielskiej: Indyjski korpus cyklistów.

Chcąc sumiennie służyć dobru żołnierza, nie możemy się nawet w polu obejść bez nowoczesnych środków badawczych, dlatego badanie mikroskopowo-bakteryologiczne staje się jednym z głównych warunków sumiennej pracy lekarskiej.

Ryciny nasze, które zawdzięczamy szefowi oddziału chirurgicznego szpitala twierdzy nr. 9 w Krakowie, dr. Klęskowi, illustrują powyższe uwagi.

Odznaczenie dzielnego kolejarza.

Obecny czas wojenny daje sposobność do popisu nie tylko żołnierzom, walczącym na polu bitwy. Dziś każdy, na jakiemkolwiek znajduje się stanowisku, stara się przyczynić, by wspólnemi siłami oczyścić kraj z najeźdźców. Czytając sprawozdania dziennikarskie, podające odznaczenia za mężne zachowanie się wobec wroga i za pomoc w jego rozgromieniu, skonstatować musimy z radością, że w tym kierunku starają się iść o lepsze wszystkie sfery naszego społeczeństwa.

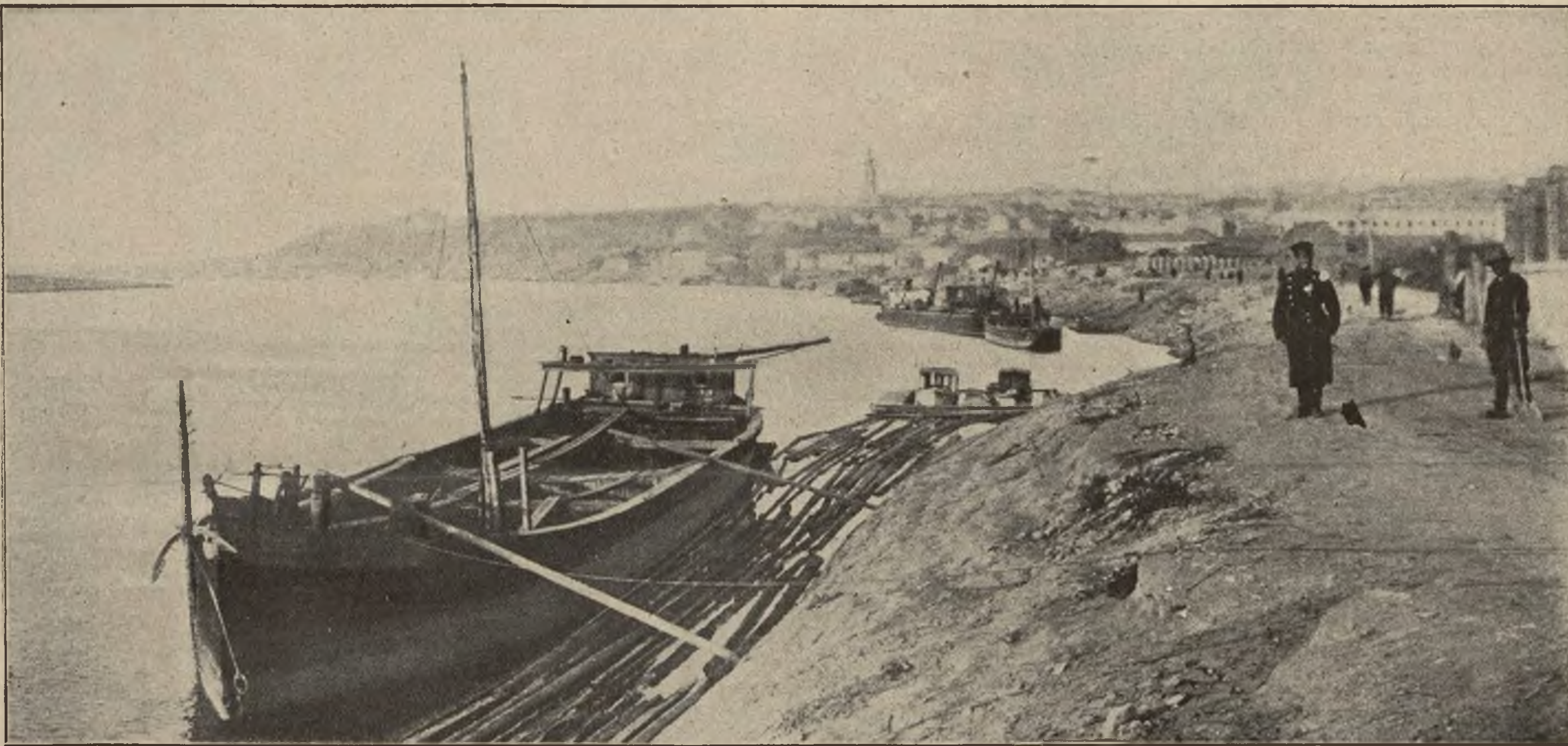
Zwłaszcza personal kolejowy ma bardzo wdzięczne pole do popisu, każdy bowiem wie, że od sprawnego funkcyonowania tak skomplikowanej maszyny, jaką jest kolejarstwo, zależy w wielkiej mierze pomyślny wynik operacyi wojennych. Od chwili ogłoszenia mobilizacyi do dnia dzisiejszego pracują kolejarze w pocie czoła w dzień i w noc, narażając się nieraz na bardzo poważne niebezpieczeństwo, wiedzą jednak, że tego wymaga od nich społeczeństwo.



Z teatru wojny: Oficerowie 32 pułku obrony krajowej



Z teatru wojny: Przegląd nowozaciężnych żołnierzy francuskich, wyruszających na plac boju.



Z teatru wojny: Ogólny widok Belgradu, który ponownie został w tych dniach zbombardowany.

które też nie pozostawia ich starań i wysiłków bez zasłużonej nagrody.

Wielu z pomiędzy wyższego i niższego personalu kolejowego otrzymało już najwyższe uznania, wielu ich otrzyma je jeszcze, z ręką na sercu musimy przecież przyznać, że zasłużyli sobie na nie sumiennie.

Tego rodzaju uroczystość odbyła się niedawno na krakowskim dworcu kolejowym. Odznaczonym był Julian Blicharski, nadkonduktor kolei państwowej, który, wśród niesłychanych niebezpieczeństw, wśród gradu kul i szrapneli, przeprowadził szczęśliwie pociąg do Przemyśla. Za poświęcenie i męstwo, jakie wówczas okazał, otrzymał od Cesarza srebrny krzyż zasługi na wstędze medalu waleczności.

Uroczystego przypięcia odznaczenia dokonał po odpowiedniej przemowie naczelnik stacyi lwowskiej, Gilek, wobec licznie zebranego personalu kolejowego



Bunt w armii angielskiej: Motocykl sanitarny wojsk indyjskich.

z naczelnikiem stacyi krakowskiej, Pohlmannem, na czele, oraz warty wojskowej, zostającej pod komendą nadporucznika Karola Hallera.

Tę podniosłą chwilę przedstawia zamieszczona w niniejszym numerze illustracya.

Z tułaczki Legionistów.

Antoni Mikłasz, Legionista II. pułku, 15 kompanii — zwany w kompanii i w pułku „dziadkiem“ — nie jest jednym z „najmłodszych“, bo osiągnął właśnie „kopę“ lat życia. Pochodzi z Jodłówki w powiecie Jarosławskim. W wiosce rodzinnej był zwykłym rolnym gospodarzem, czyli, jak sam mówi o sobie z dumą, „chłopem od pługa“, ale w wolnych od pracy rolnej chwilach zajmował się miejscową szkołą, jako członek Rady szkolnej miejsco-



Z teatru wojny: Rosyjska kuchnia polowa w Karpatach.

wej, pracował u Raiffeisena, jako członek dyrekcyi, przez dłuższy przeciąg czasu dzierżył buławę wójtowską, a jako członek komitetu parafialnego był prawą ręką swojego ukochanego proboszcza.

Gdy wybuchła wojna, a synowie i zięcowie starego Mikłasza zostali powołani do szeregów, pozostawia gospodarstwo w rękach żony i najmłodszej córki, zbiera drużynę, złożoną z dwudziestu siedmiu parobczaków i zgłasza się z nią do Legionu.

Trudy wojenne znosi z nadzwyczajną wytrwałością, bierze czynny udział w całej prawie pierwszej kampanii w Karpatach, walcząc mężnie pod Marmarosz Sziget, Nadwórną, Sołotwiną (gdzie przytomnością umysłu i odwagą ocala tren), pod Mołotkowem (gdzie w chwili krytycznej jako plutonowy obejmuje dowództwo nad 9 kompanią), pod Zieloną (przez dni 21) i pod Raifałową, przyświecając wszędzie młodym odwagą i męstwem.

Po bitwie pod Zieloną „rozkazem pułkowym“ zostaje mianowany „sierżantem“, pozostając dla Legionistów zawsze tylko „dziadkiem“.

W ostatnich dniach grudnia z. r., gdy z gromadki, przyprowadzonej przez niego z Jodłówki, nie wielu już pozostało, wnosi prośbę o uwolnienie. I rzeczywiście major dr. Rogalski uznaje go za „niezdolnego do dalszej służby wojskowej“. Opuściwszy Legion, „dziadek“ znalazł się w przykrem położeniu: w Wiedniu pozostać nie chciał, bo „niemiecka mowa ogromnie go drażni“, a do Jodłówki wracać — jeszcze nie może. Przypomniawszy sobie, że ma znajomych w Krzeszowicach, zjeżdża tam i znajduje przytułek na plebanii u proboszcza księdza kanonika Józefa Slósarczyka. Tułacz-Legionista i tu, w nowych warunkach życia odznacza się sumiennością i należytem pełnieniem obowiązków; jako „gospodarz“ (coś w rodzaju karbowego) pierwszy wstaje do pracy, ostatni ją opuszcza. A gdy głowę kładzie na spoczynek, przenosi się myślą na pola przebytych bitew i potyczek i marzy o powrocie do Legionu, gdy z nastaniem cieplejszych dni powrócą siły i zdrowie. *St. P.*



Z tułaczki Legionistów: Antoni Mikłasz, sierżant II. pułku.

Wojenne pieniądze.

Doświadczyliśmy tego już na swej własnej skórze, co to znaczy brak drobnej monety obiegowej, wywołany obecną sytuacyą. Lwią część gotówki zabrała wojskowość, potrzebując jej na wypłaty, sporo także ugrzęzło w kufrach i kasach ludności cywilnej, którą niepotrzebnie straszono, że zwłaszcza pieniądze papierowe utracą swą wartość. Każdy zaopatrywał się więc w kruszec, by mieć go odpowiedni zapas na „czarną godzinę“.

I zdarzyło się, że w Krakowie brakło drobnych, nawet filia Banku austro-węgierskiego, rozporządzająca zawsze kolosalnymi zapasami monety kruszcowej, nie mogła podołać zapotrzebowaniu. Znoszono papiery i proszono o wymianę, bodaj na halerze, jeśli już nie można na złoto, srebro lub choćby nikiel. Doszło wreszcie do tego, że nawet bogacz, nie mający drobnych, mógł umrzeć z głodu.

Jeśli w ten sposób działo się w Krakowie, tem gorszy stan panować musiał na terenie, na którym bezpośrednio rozgrywały się obecne wypadki. Kasy państwowe wywieziono, gotówkę pochowano troskliwie, drobnej monety nie można było uświadczyć nawet na lekarstwo.

Tego rodzaju „bezrybie“ pieniężne dało się zwłaszcza odczuć w Zagłębiu Dąbrowskiem, okolicy zamieszkałej przez setki tysięcy robotników, zajętych w tamtejszych kopalniach. Zapasów było dość, gotówki w większych banknotach także niemało, drobnych przecież brakło do tego stopnia, że nikt nie chciał, bo nie miał czem, wydać reszty.

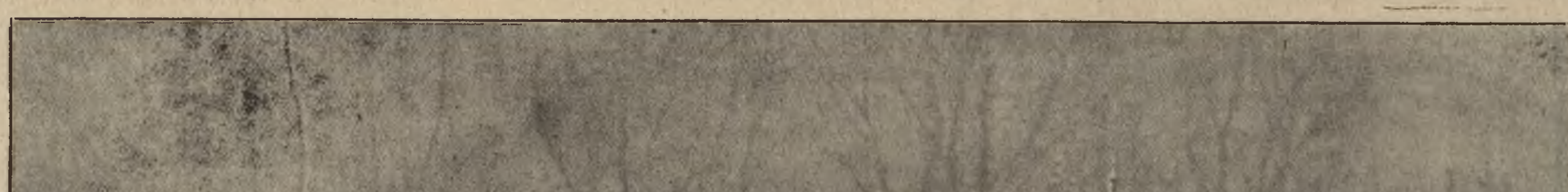
Aby temu zapobiedz, widziała się zmuszoną tamtejsza Rada Okręgowa Władz Obywatelskich do wydania papierowych bonów na drobne kwoty, mających wartość obiegową. Równowartość kwitów złożono w gotówce w oddziale sosnowieckim Banku Handlowego warszawskiego.

Zarządzenie to okazało się bardzo praktycznem i ogólnie się przyjęło. Dziś, gdy sytuacya nieco się już wyjaśniła, na brak drobnych nikt już nie narzeka.

Bunt w armii angielskiej.

Jak wiadomo, Anglia wysłała do Francyi znaczne siły zbrojne, które ściąga ze wszystkich swych kolonii. Ze jednak te wojska kolonialne nie mają zbyt wielkiej ochoty do walki w Europie, świadczy bunt, jaki wybuchł w ubiegłym miesiącu w Singapore.

Jak donosi „Reichspost“, żołnierze indyjscy w Singapore z góry zapowiadali, że w zasadzie nie mają zamiaru powstawać przeciw Anglii, ale natychmiast urządzą zbrojny opór, gdyby ich chciano wysyłać na front wojenny, ponieważ jako mahometanie nie chcą walczyć przeciw sprzymierzeńcom „wielkiego pana“ w Konstantynopolu. Takie samo usposobienie objawiło się również wśród żołnierzy w Rangoon i w Kalkucie. We wtorek, 16 lutego, miał indyjski pułk singaporski odpłynąć do Europy; żołnierzy powiadomiono o tem dopiero w poniedziałek. Cały pułk



Z teatru wojny: Uroczystość dekorowania oficerów francuskich.





Z Legionów:

Prezes biura prezydyalnego Naczelnego Komitetu Narodowego hr. Michałowski (X) na wizytacyi w Piotrkowie.

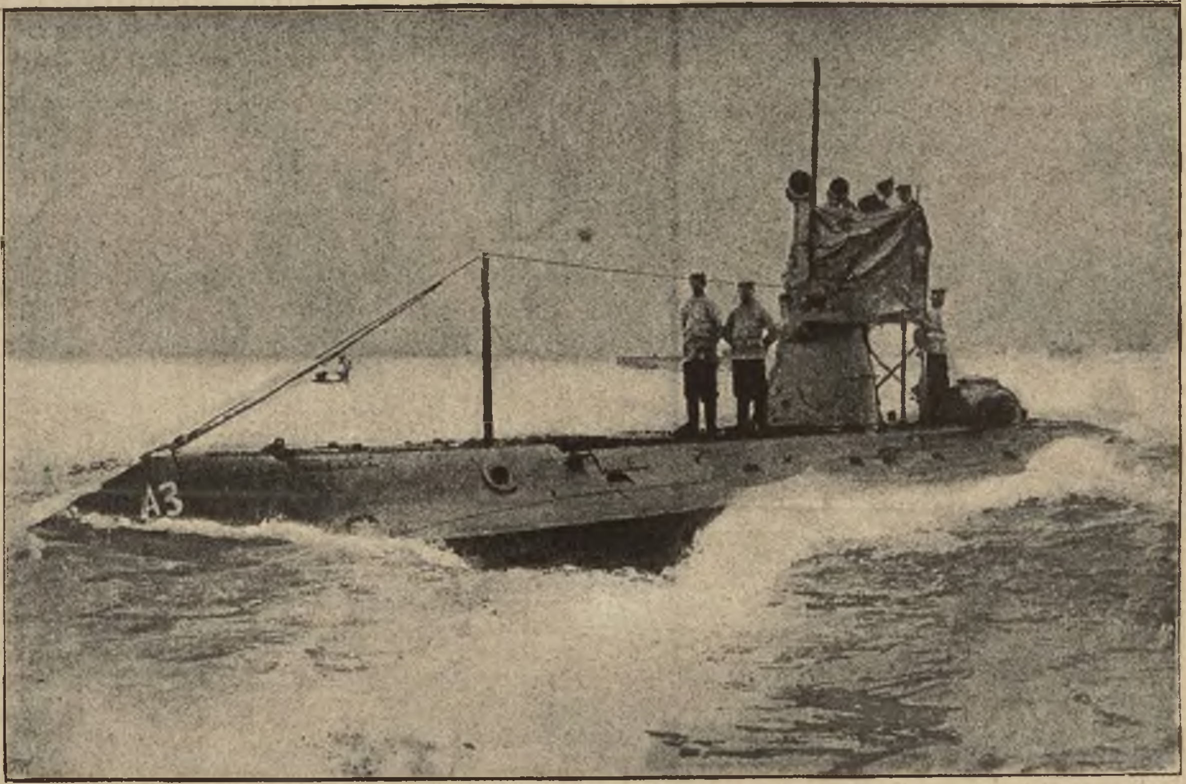
Grupa Legionistów ze sztandarem, ofiarowanym przez młodzież węgierską.

w sile 1400 ludzi rozpoczął natychmiast bunt. Żołnierze wtargnęli do klubu oficerskiego i zastrzelili tam 27 oficerów, niektóre oddziały przeciągały ulicami miasta i strzelały do każdego Europejczyka, który im się nawinął, z wyjątkiem kobiet.



Bunt w armii angielskiej: Karabin maszynowy wojsk indyjskich

Następnie Indusi wtargnęli do szpitala garnizonowego i zabili tam siedmiu Anglików, poczem na ulicy przyszło do większego starcia między grupą powstańców, a setką angielskich ochotników. Anglicy zostali pobici i wieczorem powstańcy byli panami miasta, nawet magazyn broni dostał się w ich ręce, tak że Anglicy nie mogli się uzbroić. Przez cały czas Indusi bombardowali i ostrzeliwali pewne części miasta. Ludność europejska zabarykadowała się w hotelach, kobiety wsadzono na statki holenderskie



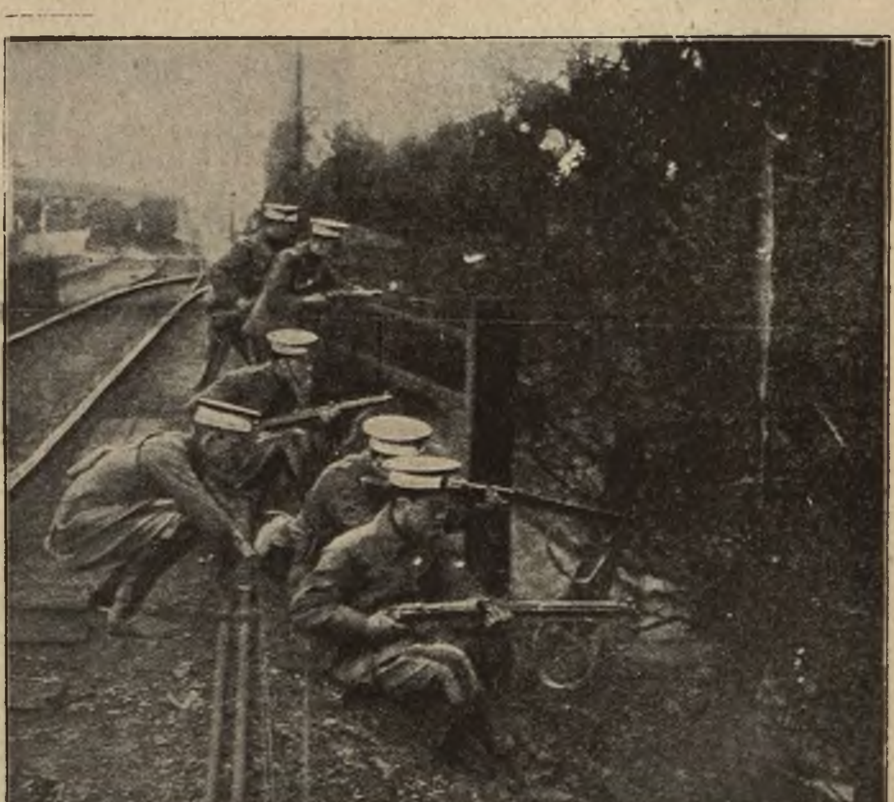
Z teatru wojny: Rosyjska łódź podwodna, patrolująca w okolicach Kronsztadtu.

i angielskie, stojące w porcie na kotwicy. Przez cały wtorek trwała strzelanina, ale do starć większych już nie przyszło, gdyż ochotnicy angielscy nigdzie nie stawiali czoła Indusom.

Ludność tubylcza sympatyzowała też z powstańcami i popierała ich, jak mogła. We środę przybyło 500 żołnierzy angielskich z Rangoon i zabarykadowało się w koszarach Tanglina. Ile razy wyszli na miasto, byli ostrzeliwani ze wszystkich zakątków, nie mogąc nawet dojrzeć przeciwnika.

Te rozruchy wśród wojsk indyjskich, na które Anglia tak liczy, nie są dla niej zbyt dobrą wróżbą.





Bunt w armii angielskiej:

Angielski karabin maszynowy „przy pracy".

Piechota angielska w zasadzce.

STANISŁAW SŁAWIECKI.

Z CYKLU: „WOJNA“.

TĘSKNOTA.

Szli...

Szereg za szeregiem, oddział za oddziałem, w ciepłą, letnią noc.

Szli cicho, milcząc, jak tłum szarych duchów, żelaznym woli sprzęgły rozkazem.

Szli, jeden do drugiego, jak kropla wody do kropli podobni, wolę przywoławszy na czaty nad rwącą się do życia tęsknotą...

Szli, wolę skupiwszy, do jednej ją nagiąwszy myśli, bez woli...

Szli krokiem twardym w cień nocy, co był ich jutrem, przyszłością...

Żaden nie odezwał się głos, tylko serca pod szarymi tłukły się mundury, przedziwny rodził się smutek, żal wzbierał.

Wokół pachnące w ciszy spoczywały pola zieleni, przydrożne wierzby lekko drgały milionami sennych liści; gdzieś blizko drogi, wśród gąszcza przyziemnej wikliny, strumień się sączył i szemrał...

Z pachnących pól, z uśpionych siół, tęsknota szła i rosła, echem odbijała się stokrotnem w duszach idących. Ustawała myśl i milkło serce jednostki... całe kolumny czuły jedno.

Tęsknota objęła dowództwo serc...

...Z pachnących pól, z uśpionych siół, wśród cichej letniej nocy, wiatr lekki pozdrowienie im niósł i pożegnanie razem...

— Żegnajcie, żegnajcie!... idziecie w bój nieznany i żaden nie wie, czy wróci znów, czy w obcej spocznie ziemi... Idziecie w bój... a w szarej mgle rodzinna wieś majaczy i dom ojcowski i kościółek stary i kochających tęsknota...

Idzie za wami, krok za krokiem w ślad, z ciepłej dobywa się roli, z zieleni rwie się drzew... z nocnej się rodzi ciszy...

Słyszycie ten pieściwy śpiew, żałości pełen i smutku, bez słów... to ona! Tęsknota za wami idzie w ślad, czujących, dobrych serc z żalu zrodzona...

I pyta się wierzba przydrożna — dokąd idziecie?

Wola jej odpowie, uczuciem owładnąwszy, zimna, jak stal połyskujących bagnetów: „idziemy w bój!“

A potem cisza...

I szepce myśl: „nie wrócisz już, nie ujrzysz już kochanych“...

...Stygną poczciwe, drogie twarze bez słowa, tylko tęsknota patrzy z ich lic, z błyszczących woła ócz, z rozchylonych do dobrego słowa ust...

— Tęsknota woła cię, czy słyszysz?

— Wróć, wróć!...

— Tęsknotą drżą nasze serca i smutek nas ogarnął, łzy się nam tłoczą do oczu — czy widzisz to, czy słyszysz?

— A wróć!... — leci za nimi przecudne, jak pieśń, pełne tęsknoty życzenie, pełne mocy niewypowiedzianych uczuć.

Mijają wieś. Jakby na rozkaz odwracają się głowy, załzawione oczy buchają płomieniami, serce drży...

Na rozstaju dróg kapliczka... Ileż tu skarżyło się serc, ile spłynęło tu łez ukojenia. Ostatnie zwracają się tam spojrzenia, ostatnie płynie westchnienie...

Tęsknica straszna żre...

I w nocnej ciszy niejedno się uchyla okienko, niejedno ciepłe za nimi mknie spojrzenie, modlitwy słowa i błogosławieństwo. Dziwna pustka wypełnia nizkie odymione izdebki i lśniące ściany salonu.

Odeszli. Szli, szereg za szeregiem, a wszyscy jednacy, tej drogiej ziemi synowie kochani — wszyscy równi, wszyscy drodzy, bracia jedyni...

Płynie za nimi myśl stęskniona; ściga ich w dal do krańca widnokręgu, w nocnej odnajduje ich ciemni, otula serca pieszczotą, myśli tęsknotą...

Ledwie przekroczył próg, ledwie ostatnich ucichł odgłos kroków już...

...Jeszcze usta nie ostygły od ostatniego pocałunku, jeszcze myśl kończy słowa pożegnania, a już tęsknotą serce drży...

. . . .

Wieczorny zmrok nadchodzący lekko przysnuł ziemię. Ostatnie złoto-krwawe pręgi ginęły, bladły...

Wśród ciemnej zieleni łąk i rdzawej barwy ściernisk, wąska wiła się ścieżka. Pięła się po lekkiem wzniesieniu, to leżący od niepamiętnych czasów głaz omijając, to krzew dzikiej róży.

W powietrzu cicho było, a wokół nie zoczyłbyś śladu ludzkiego życia. Jak gdyby wszystko wymarło...

Wolno krok za krokiem, jak gdyby bez woli, szła młoda dziewczyna. Scieżka ją prowadziła.

W ręce kwiat polny trzymała i wolno, jeden za drugim obrywała mu listki. Czyniła to z powagą i skupieniem, jakby każdemu z nich inne nakazywała zadanie.

Minęła lekkie wzniesienie i swój krok ku małej, dobrze widocznej, skierowała kapliczce. Malutki, biały domek, dachem gątowym pokryty, wśród dwóch smukłych ukrywał się brzóz. Zwisające okiście, jakby ramionami go ujmowały i chciały unieść w górę.

Lat temu wiele, prababka, w chwilę po ślubie wyprawiła męża w bój. Poszedł i przepadła o nim wieść... Wrócili inni, o nim żadnego słuchu. Domysły tylko ubocznemi drogami szły, że o swej młodej zapomniał żonie i w dalekim szczęśliw żyje kraju...

A ona z tęsknoty, życia się chciała pozbawić. Lecz miała raz przedziwny sen. Rycerz w błękitnej zbroi przyniósł jej wiadomość, że wróci, on, jej jedyny, kochany, o zachodzie słońca i spotka ją u dwóch samotnych w polu brzóz...

Mijały dnie i miesiące. Chodziła co wieczora na wyśnione miejsce i tam tęsknotę swą i smutek żałośnie szumiącym zwierzała brzozom; oczy wypatrywała, czy nie wraca już... W cichej szukała pociechy modlitwie, ratunku...

I wrócił podobno. W cichą letnią noc, w myślach tonącej ukazał się... młody i piękny, jak w ten dzień jedyny... nie wyrzekł słowa, tylko pocałunek na jej ustach złożył, tęsknym w jej oczy spojrzał wzrokiem i znikł...

Została po nim tęsknota.

Na tem miejscu kapliczka stanęła.

Do tej kapliczki jej praprawnuczka modlić się chodziła. Gdy letni wieczór przedziwnych baśni szeptał czar, gdy myśl radosna jak ptak złotoskrzydły w szczęśliwą unosiła się dal, gdy tęsknota dziwna do rzeczy nieznanych sercu drżeć kazała, pod samotne brzozy szła...

— Przyjdzie? — pytała myśl.

Czy przyjdzie? — drżące pytało serce, dziewczęcych pełne marzeń.

— Czy przyjdzie on, złotowłosy paź i będzie patrzył z dala, nieśmiało w jej twarz? Czy jej przyniesie kwiecia wiązankę jak zawsze... Czy usłyszy dźwięk jego głosu, pieśń smutku i tęsknoty?

Spotkali się raz w samotnej kapliczce. Nie znała go i on jej nie znał zupełnie, choć sąsiadami byli. Przyszedł tam w wieczorny zmrok, bo przyjść musiał... płaczące bzoozy wzywały go w godzinę marzeń. Na kamiennej siadał ławeczce, a myśl z szumem drzew płynęła w dal, tęsknie goniła niedościgłe sny.

Przyszła. Nie patrzył na nią, nie wiedział, że nadchodzi, lecz z serca odczuwał ją tęsknotą, że to ona jest, ta siostra jego... Ta, do której serce się rwało, ta, o której dusza śniła... ona...

Przychodziła codzień, spokój mu dziwny i radość przynosząc i brała w zamian tęsknotę.

Nie znali swych twarzy, lecz jakże dobrze, jak dawno się znali. Czemże była dla nich ta chwila poznania, ten pozór? Wszak oni dawno do siebie należą, bo dusze ich jednością były, myśli nie znały różnicy...

I leciało liście z drzew i barwną ich związało wstęgą...

Ramię przy ramieniu, skroń przy skroni w długie tęsknili godziny.

Tęsknili za tem, za czem tęsknić tylko młodość może... za jasną zorzą dobrych dni, pogodą duszy, za złocistymi tęsknili snami — i za czem jeszcze?...

Za czem? Któż odpowiedzieć na to zdoła...

Tęsknili duszą i sercem, tęsknili pragnieniem, myślami.

. . . .

— Nie przyjdzie? — pyta jej myśl — nie przyjdzie?

Od pól ciepły, łagodny powiał wiatr. Zachwiały się wierzchołki brzóz i przemówiły...

— Nie przyjdzie, nie... opuścił cię i już nie wróci się. Jak sen się zjawił i jak sen zniknął. A może to był tylko sen... To był z pewnością tylko sen zwodniczy. Niczego ci nie przyrzekł, żadnej nie zostawił obietnicy i poszedł...

— Przyjdzie, przyjdzie — szepcze jej myśl. — Przychodził codzień i dzisiaj się zjawi...

— O przyjdź! — szepczą jej wargi — o przyjdź, ma duszo bratnia, bo tęsknię za tobą...

Oczyma szukała wokoło... nigdzie śladu, nigdzie znaku życia, tylko wiatr lekki listkami szumi drzew.

Od pól ciepły, łagodny powiał wiatr. Zachwiały się wierzchołki brzóz i przemówiły...

Zapomniał cię i poszedł w dal, tęsknota pędzi go w nieznaną dal... nie wróci już...

— O przybądź, przybądź, bo tęsknię za tobą...

. . . .

Szli.

Szereg za szeregiem, oddział za oddziałem...

Szli cicho, milcząc, jak tłum szarych duchów, wszyscy podobni, wszyscy jednacy, kochanej ziemi synowie drodzy.

Mrok ich otulał.

Wiatr lekki szedł od pól i chłodził rozpalone skronie.

Zagibotały wierzchołki brzóz i szeptem przemówiły.

— Dokąd idziecie?...

Cisza była odpowiedzią.

Bezwolna tłumu przemówiła wola. Żołnierska zabrzmiała pieśń... Zdało się — brzmiał tam hart, a śpiew jak gdyby z kamiennych szedł piersi.

Powietrzne fale niosły pieśń...

Zachwiały się wierzchołki drzew i drżącym przemówiły szeptem.

— Idziecie w bój i żaden nie wie, czy wróci znów, czy w obcej spocznie ziemi... a w nocnej mgle wieś cicha śni i w śnie za wami tęskni już...

Wiedziała już. On idzie tam w szeregu...

— Idziecie w bój, — szepcze jej myśl — wy, bracia moi drodzy. Śniliście baśń szczęśliwych dni i jasnych, złotych zorzy...

Idziecie w bój i żaden nie wie, czy wróci...

W myślach jedyny jej potężniał, mnożył się... już ich szereg cały, dziesiątki i tysiące... legion.

...Wszyscy jednacy, drodzy bracia... kochanej ziemi synowie.

Idziecie w bój, a za wami krok za krokiem w ślad, tęsknota idzie; z ciepłej dobywa się roli, z zieleni rwie się drzew... z nocnej się rodzi ciszy...

— Słyszycie ten pieściwy śpiew, żałości pełen i smutku, bez słów... to ona!

Tęsknota za wami idzie w ślad, czujących, dobrych, bratnich serc, z żalu zrodzona..



Jubileusz dyrektora teatru lwowskiego.

W obecnych ciężkich czasach, gdy jedni walczą, a inni znoszą jeszcze cięższą dolę wygnańców, na



Dzieci ofiarą wojny: Siedmioletnia Stefcia Radomska i 14-letnia Maryanna Jamruz na kuracyi w polowym szpitalu dentystycznym.

tułaczce znalazł się także i... teatr lwowski. Dzielny i zasłużony kierownik tej polskiej placówki artystycznej, dyr. Ludwik Heller, nie opuścił jednak rąk i aby zadać kłam twierdzeniu, że „inter arma silent Musae“, przeniósł swe lary i penaty do Wiednia, gdzie pracuje dla polskiej sztuki i tak licznej dziś tam kolonii polskich uchodźców... I właśnie na tem wygnaniu przyszło dyr. Hellerowi obchodzić zasłużony jubileusz. Przypomnieli tę uroczystość najwybitniejsi przedstawiciele kolonii polskiej w Wiedniu, którzy ogłosili w pismach następującą odezwę:

Z początkiem marca 1915 r. minęło 10.000 przedstawienie pod kierunkiem dyrektora teatru miejskiego we Lwowie, Ludwika Hellera.

Nie tylko w dziejach polskiego teatru, ale wszystkich teatrów jubileusz tego rodzaju jest prawdziwą rzadkością, godny więc jest i zaznaczenia, bo 10.000



Z teatru wojny: Jen Kluck, dowódca jednej z armii niemieckich, operujących we Francyi, raniony w tych dniach szrapnelem.

przedstawień, danych pod artystyczną i materyalną odpowiedzialnością jednego człowieka, a w warunkach tak niesłychanie trudnych, jak u nas, to istotnie ogrom pracy i zasługa niepoślednia, zwłaszcza, że rezultaty tej pracy także i za granicą zdobyły dużo uznania teatrowi polskiemu (Medyolan, Paryż, Wiedeń, Praga).

Ze względu na chwilę obecną, dyrektor Heller zastrzegł się przeciwko nadawaniu tej sprawie rozgłosu. Mimo to grono osób, uznając, że teatr jest tak ważnym czynnikiem kultury narodowej, iż nawet w niedolach politycznych nie wolno o nim zapominać, jako o jednym z widomych znaków duchowego życia narodu — postanowiło przynajmniej w skromny sposób zaznaczyć ten tak niezwykły i rzadki w kronikach teatralnych wypadek.

Ponieważ zaś nie jest wcale tajemnicą, z jakiemi ofiarami materyalnemi dyrektor Heller od czterech już miesięcy podtrzymuje byt stworzonego przez siebie w Wiedniu teatru polskiego, obraliśmy jako



Jubileusz dyrektora teatru lwowskiego: Ludwik Heller

najodpowiedniejszą w obecnej chwili formę wyrażenia uznania dla tej Jego pracy zebranie funduszu, któryby choć w części ułatwił Mu trudne, bo w tak ciężkich warunkach podjęte zadanie, a zarazem pozwolił Mu przeprowadzić je do końca (t. j. do połowy kwietnia b. r.)

Datki na cel powyższy wraz z podpisaną listą prosimy nadsyłać przed 12 kwietnia na ręce W. P. Edwarda Neumanna, sekretarza ministerstwa dla Galicyi (Wiedeń, III, Rennweg 1 A).

Karol hr. Lanckoroński, Józef Neumann, Stanisław Fałat, Konrad Łoziński, Stanisław Przybyszewski, Marya hr. Lubomirska, dr. Tadeusz Rittner, Edward Neumann, Adolf Wł. Inlender, Maryan Biliński, Władysław Długosz, Karol Kucharski, dr. Alfred Wysocki, dr. Edward Goldscheider, naczelny redaktor „Wiener Allg. Zeitung“.



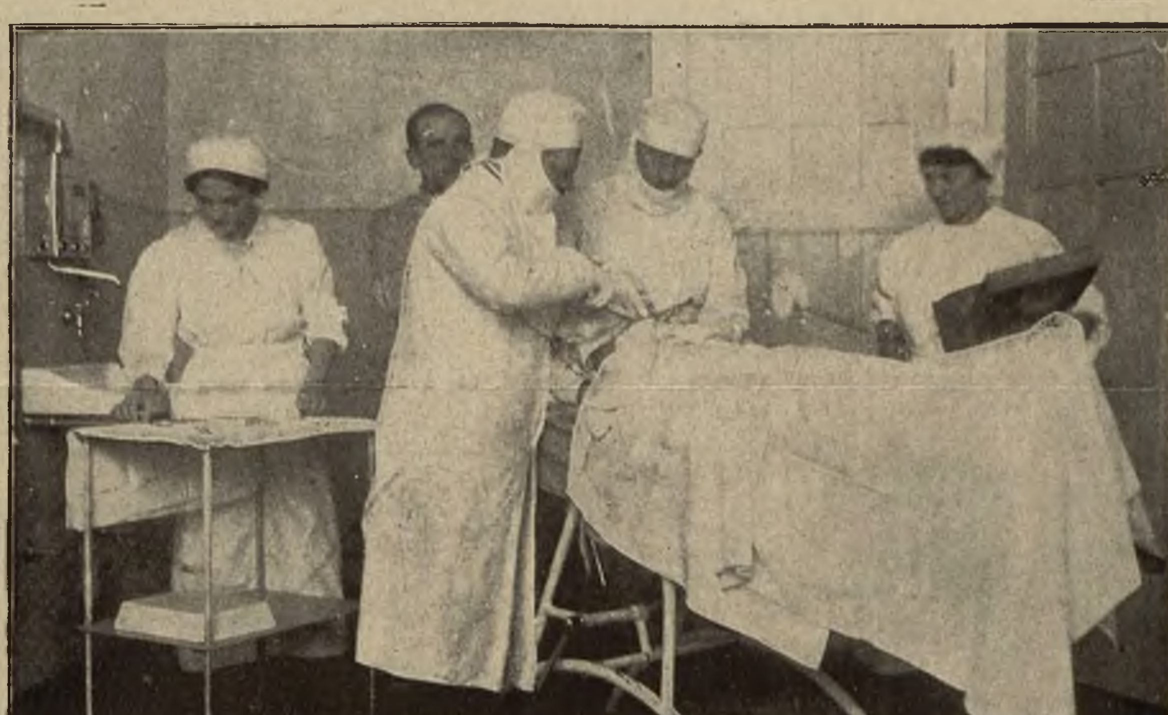
Z żałobnej karty: S. p. dr. Leon Mermon.

Z żałobnej karty.

W komitacie zempleńskim w północnych Węgrzech, w bitwie pod Fölezö, padł dnia 2. marca, ugodzony kulą karabinową w głowę, ś. p. dr. Leon Mermon. Zwłoki jego spoczęły na repöieńskim cmentarzu, niedaleko pola bitwy.

Zmarły ukończył krakowskie gimnazyum św. Jacka, wyższe studya odbył na Wszechnicy Jagiellońskiej, gdzie w roku 1913 uzyskał stopień doktora praw. Pracę zawodową rozpoczął w krakowskim sądzie, jako auskultant. W styczniu b. r. odszedł na plac boju. Liczył lat 27.

Tragiczny zgon jego dotknął boleśnie rodzinę i odbił się serdecznym żalem kochających go kolegów i znajomych.



Nowoczesna medycyna wojenna: Operacya aseptyczna

Kronika tygodniowa.

Zanim, w myśl obietnicy, przystąpię do kreślenia mych świątecznych perypetyi, muszę najpierw rozprawić się z niejaką panną Aliną, która, poczuwszy w sobie twórcze popędy, chce się bawić w autorkę i, zaczynając od zagadek, przesyła je Redakcyi bez interesownie, ale... w nieopłaconym liście!

Wiadomem zaś powinno być wszystkim, więc także i autorkom, że poczta jest taka niegrzeczna, iż za listy zupełnie lub niedostatecznie ofrankowane każe sobie płacić podwójne porto. Skąd my zaś do tego przychodzimy, by płacić karę za to, że pannie Alinie zachciało się pisać zagadki, które, nawiasem mówiąc, rozwiązanie znalazły w koszu?

Kolega redakcyjny, prowadzący referat zagadkowy, jest niepocieszony z tego powodu, a bardzo mi go żal, bo go lubię, jak (psy dziada w ciasnej ulicy!... przyp. zecera) brata, wołam więc, ile tchu mi w piersiach starczy:

— Panno Alino! Piękna jesteś czy brzydka, młoda czy stara, tłusta czy chuda, albo przestań bawić się w autorkę, albo, jeśli już chcesz koniecznie, nie posyłaj płodów swej fantazyi w listach nieopłaconych, bo to paskudny zwyczaj, zwłaszcza, że teraz czasy są bardzo ciężkie i szkoda każdego halerza, wydanego niepotrzebnie!

Proszę się na mnie nie gniewać za to ojcowskie upomnienie, musiałem to jednak uczynić ze względu na przyjmujący się coraz bardziej zwyczaj korespondowania zapomocą nieopłaconych listów. Jest to dopuszczalne tylko o tyle, o ile one są przeznaczone dla żołnierzy, przebywających w polu, a ani panna Alina, ani redakcya „Nowości Illustrowanych" do nich chyba zaliczać się nie może.

Choć, oby to człowiek miał tylko tyle zmartwienia! Niestety mamy ich więcej, najbardziej zaś gryzie nas owa ewakuacya, wisząca nad nami, niczem miecz Damoklesa, a to najgorsze, że na nią nawet anisol nie pomoże!

Jak ona zaś będzie wyglądać, mieliśmy już przykład na ewakuacyi wron z plant miejskich, czego dokonano w ubiegłym tygodniu na polecenie prezydyum magistratu, które uznało, że śpiewają one zupełnie fałszywie i wobec tego mogą wpłynąć bardzo ujemnie na smak artystyczny Krakowian. Poczciwe nasze wroniska, które właśnie zabierały się do rozpoczęcia familijnego życia, z rozdziawionymi dziobami i rozdartem sercem patrzyły, jak osękami zdzierano ich gniazda, nawiasem mówiąc, bardzo podobne do modnych niedawno damskich kapeluszy. Co sobie przytem myślały, tego nie wiem, na psychologii wron znam się bowiem bardzo słabo, acz kolwiek żyję w przyjaźni z profesorami tego przedmiotu.

O owej ewakuacyi myśli z nas każdy i ciągle mu się zdaje, że jedną nogą jest jeszcze w Krakowie, a drugą gdzieś w Starej Pace, kombinują też wszyscy zawzięcie, kto będzie musiał wyjechać, kto zaś zostanie. Nie przesadzę, jeśli powiem, że wobec tego sama wojna zeszła na drugi plan.

W pierwszym więc rzędzie spodziewamy się „wylania" z urzędu wszelkich pesymistów i nastrojowców ze względu na to, iż źle oddziaływają na otoczenie i, każdy na swój sposób, psują mu humor. Wiadomo zaś, jaki dobry humor ma wpływ na cały organizm i wszelakie funkcye życiowe, nic też dziwnego, że fizykat miejski nosi się z myślą szczepienia Krakowian rozweselającą surowicą wynalazku pewnego uczonego, a dowcipnego bakteryologa, który twierdzi, że musi ona zrobić dobrze, jeśli nie szczepionym, to bodaj wynalazcy i wytwórcy.

Z tego samego powodu nadają się do ewakuacyi w szczególności kamienicznicy, upominający się o zaległe czynsze, szewcy, krawcy i kupcy, naprzykrzający się z rachunkami, adwokaci, prowadzący procesy i wszyscy inni, którzy w jakikolwiek sposób trapią i prześladują swych bliźnich, zamiast miłować ich, jak samych siebie.

Do tej kategryi zaliczyć się musi także teściowe i stare panny — sufrażystki, które niejednemu już zalały gorącego sadła za skórę. Nie mogą one absolutnie cierpianemi być w obrębie fortecy, choć twierdzą, że i one mogą się na coś przydać. Wszak nawet gęsi przyczyniły się ongiś do obrony Kapitolu, w co ja jednak nigdy wierzyć nie chciałem i prawdopodobnie dlatego miałem w drugiej klasie gimnazyalnej dwóję z historyi powszechnej i zoologii. Ponieważ zaś, gdzie jest dwu, tam znajdzie się i trzeci, wpakowano mi wobec tego i trzeciego „singla" z łaciny, zapewne ze względu na to, że tu chodziło o Rzym.

Że więc i ciału nauczycielskiemu powinienbym życzyć z tego powodu wesołej ewakuacyi, zrozumie to każdy bardzo łatwo. Przyznam się też, że była u mnie deputacya młodzieży szkolnej obojga płci, z prośbą, bym poruszył w kronice, iż byłoby wskazanem, aby profesorowie opuścili jak najrychlej rejon fortyfikacyjny. Ja jednak nie jestem znowu tak mściwy, przebaczam wyrządzone mi krzywdy. Niech zostaną, jeśli im tu dobrze i siedzą spokojnie na tem, co u mnie najbardziej cierpiało, gdym przyniósł świadectwo z dwóją do domu rodzicielskiego.

Przedewszystkiem zaś powinno się usunąć z miasta żarłoków, ci bowiem mogą stać się bardzo niebezpiecznymi i, jak to powiadają, objeść nas z kretesem. W tym celu powinno być z urzędu wyznaczone *maximum* peryferyi cielesnej. Kto je przekroczy, musi być wyewakuowany. Z całą surowością wystąpić się powinno także i wobec chudych żarłoków, są to bowiem faryzeusze i symulanci!

Jeśli ewakuacya przeprowadzoną zostanie według mych wskazówek, jestem pewny, że Krakowowi nie będzie grozić żadne niebezpieczeństwo, przeciwnie, nastaną nawet złote czasy, jakich najstarsi nie pamiętają. W międzyczasie postaramy się zaś, by niektórym z wyewakuowanych, n. p. kamienicznikom i teściowym zabroniono raz na zawsze powrotu do miasta.

Nie wiem, jaki los spotka ową Czeszkę, która przy ulicy Lubomirskich wróżyła Krakowianom, ale przeważnie same złe rzeczy i doczekała się tego, iż oskarżono ją w policyi, że się jej przepowiednie nie spełniają. Ja, gdyby to odemnie zależało, nie tylko nie ukarałbym jej wcale, owszem nawet należycie wynagrodził, bo chyba nikt nie powinien się gniewać jeśli nie spełni się coś złego. Gorzejby było, gdyby z tym samym skutkiem przepowiadała same dobre rzeczy.

Kraków jest stolicą, powinien więc mieć swoją panią de Thèbes, spodziewam się też, że biedaczki nie wyewakuują, zwłaszcza, że i ja wybieram się do niej, by zasięgnąć jej światłego zdania, czy obecna wojna skończy się i kiedy. Potem porówna się jej orzeczenie z innemi tego rodzaju i zaczeka, kto też będzie miał racyę.

Zabierała już głos w tej kwestyi pani de Thèbes, Kitchener i jego siostra, jenerał French i wielu innych, do nich dołączyć należy jeszcze owego ex-ministra, który twierdzi w jakiemś włoskiem piśmie, zdaje mi się, że w „Stampa", iż pokój zawarty zostanie po roku prowadzenia wojny. Nie podaje jednak bliższych danych, na jakich opiera swe twierdzenie. Sądzę przecież, że wchodzi tu w grę albo ogólne wyczerpanie stron wojujących, albo też względy czysto administracyjne, wiadomo bowiem, że w myśl istniejących przepisów rok wojny liczy się podwójnie. Jeśli więc wojna potrwa rok cały, manipulacya będzie ułatwiona, choć wielka szkoda, że cały ten kram nie zaczął się w dniu pierwszego stycznia, a nie skończy w Sylwestra. To uprościłoby jeszcze sprawę, a dało także sposobność do pewnej oszczędności. W noc Sylwestrową pitoby bowiem równocześnie, i na ukończenie kroków nieprzyjacielskich, a nastanie normalnych warunków, do których tak wzdychamy.

Pozatem muszę zanotować i przepowiednię pewnej krakowskiej służącej, która miała być pono jasnowidzącą i w swoim czasie opowiadała, że będzie wojna. Tak się też stało!

Gdy ją pytano, kiedy będzie koniec, odpowiedziała:

— Ho! ho! Ja końca jej nie doczekam! Skończy się jednak niedługo po mej śmierci...

Poczta pantoflowa, przy pomocy której wiadomość ta doszła do mych uszu, doniosła mi, że właśnie z końcem marca służąca owa przeniosła się do wieczności, co usłyszawszy, westchnąłem serdecznie za jej duszę, mówiąc:

— Daj jej, Panie Boże, zdrowie za tę przepowiednię! Oby słowa jej spełniły się, ale nie w ten deseń, jak proroctwa owej Czeszki z ulicy Lubomirskich!...

Czekajmy więc, a doczekamy się przecież czegoś, choć, jak to „coś" będzie wyglądać, nikt z nas dziś jeszcze wiedzieć nie może, a tymczasem, zanim to się stanie, albo nas wyewakuują, albo zaasenterują, w każdym zaś razie zaszczepią bodaj jedną tylko surowicą.

A propos owego szczepienia, to lekarze są w ogromnym strachu, a stolarze i przedsiębiorcy pogrzebowi wraz z nimi, jeśli bowiem pójdzie tak dalej, jak dotąd, to ludzie przestaną wogóle chorować i nie będą też umierać, wobec czego oni, nie mając tutaj co robić, zmuszeni zostaną *eo ipso* do dobrowolnej ewakuacyi. Stać się to zaś może już w niedługim czasie, medycyna kroczy bowiem naprzód i to w tak zwanym „*gewaltmarschu*" i niema dnia, by nie wynaleziono jakiej nowej surowicy ochronnej. Uczeni mężowie wysilają obecnie nad tem głowy, by wynaleźć jedną uniwersalną. Gdy się ją zaszczepi dziecku bezpośrednio po urodzeniu, na całe życie będzie ono zabezpieczone przed wszelakiemi infekcyami.

Ale i to nie każdemu się zapewne spodoba. Jeśli ludzie żyć będą wieki całe, awanse urzędnicze będą bardzo utrudnione i w jednej i tej samej randze będzie się musiało tkwić niewiedzieć jak długo, póki się nie usunie który z „*vordermannów*". Ponieważ zaś żaden tego z pewnością dobrowolnie nie będzie chciał uczynić, zmusi się go, posyłając mu, dajmy na to, z urzędu pana fizyka, który już tam jakoś da mu radę!...

Na to jednak jeszcze dość czasu! Wiele wody upłynie i w Wiśle i w Rudawie, wiele rzeczy zmieni się na lepsze, lub gorsze!

Skoro już wspominałem tyle razy o owej ewakuacyi, pójdę dalej tą samą drogą i pocieszę Krakowian, że to samo, co u nas, dzieje się i gdzieindziej.

Onegdaj wyczytałem w którejś gazecie, że jenerał francuski d'Armade który siedział na wyspie Lemnos, urządził stamtąd „ewakuacyę" i znalazł się w Aleksandryi, w Egipcie.

Spyta kto może, jaki powód?

Czy spyta, czy nie spyta, ja mu powiem.

Pan d'Amade przeznaczony był na dowódcę francusko-angielskich sił, które miały za zadanie pomaganie flocie, forsującej wjazd do Dardanelli. Spodziewano się, że uda mu się wylądować i uderzyć z tyłu na Turków, co, gdyby się było stało, pan jenerał byłby się okrył nieśmiertelną chwałą, ozdobił swe skronie wieńcem z bobkowych liści i, jak słyszałem, otrzymał przydomek „Dardanelski".

I tego się właśnie przeląkł, ktoś mu widocznie powiedział, w jakiem znaczeniu używa się u nas tego wyrażenia, z którem niejeden z Szan. Czytelników musiał się spotkać już w szkole normalnej, choć wówczas o Dardanellach miał takie pojęcie, jak dziś niejeden fachowy krytyk o sztuce.

Zmienił więc pan d'Amade front i obecnie bawi w Afryce, gdzie w najbliższym czasie weźmie osobisty udział w polowaniu na krokodyle, aby wywiązać się z danej na odjezdnem swej teściowej obietnicy, iż, jeśli Konstantynopola nie zdobędzie, to przynajmniej przywiezie jej całkiem żywego krokodyla.

Ona zaś bardzo lubi zwierzęta. Ma już pieska, kotka, kanarka i tasiemca, krokodyl nie zrobi jej zbyt wielkiego ambarasu, zwłaszcza, że nawet te kwiożercze bestye mają respekt przed teściowemi.

W najściślejszym związku z ewakuacyą stoi też aprowizacya, na którą Krakowianie zwrócili w ostatnich czasach nadzwyczaj baczną uwagę. Każda gospodyni uważa dla siebie za punkt honoru, jeśli może pochwalić się przed przyjaciółkami całą stertą worków mąki i najrozmaitszych krup i kasz. Na tem tle powstało też najnowsze przekleństwo ewakuacyjno-aprowizacyjne, które brzmi: „A bodaj ci nulka stęchła!".

„Nulka" jest to mąka pszenna starego typu, dochodząca dziś cen bajońskich (niewiele mniej kosztuje, niż najlepszy puder ryżowy w najdroższej aptece!), nic też dziwnego, że tego rodzaju odezwanie się panie nasze wyprowadza z równowagi i przyprawia o mdłości.

Niemało kłopotu mają też niektóre osobniki z ogłoszoną zbiórką metali na cele wojenne. Przedewszystkiem nie podano, kto i kiedy tem się zajmie, nikt nie wie także, gdzie jest główne miejsce zbiorcze, jak również, kto tworzy miejscowy komitet.

Zgłosiła się u mnie onegdaj pewna starsza panienka, która dobrze pamięta czasy wolnego miasta Krakowa, z oburzeniem, że komitet nie chce zbierać ani żelaza, ani stali, a ona na razie rozporządza tylko takimi metalami.

— Trudno! — odparłem — Ja na to nie poradzę.

— Ja tu dlatego przyszłam, — ona mi na to — aby pan poruszył tę kwestyę. Niech Kraków cały wie, że i ja chciałam na ołtarzu ofiarności publicznej złożyć swój dar dziewiczy...

— A jaki? — zapytałem z ciekawością.

— Tuzin brykli od sznurówki i — tu lekko się zarumieniła — w zupełnie jeszcze dobrym stanie druty i sprężyny z... turniury!... Pan wie, w dawniejszych czasach...

— Wiem! Wiem! Cóż jednak może komu przyjść z turniury pani dobrodziejki?

— Co? — odpowiedziała urażona — Drutów można użyć, dajmy na to, na szkielet do balonu Zeppelina... Tyle lat były wystawione na działanie po wietrza, to i teraz im to nie zaszkodzi!

— Niech się pani łaskawa zwróci z tem najlepiej wprost do hrabiego Zeppelina! — doradziłem.

Rada ta widocznie nie przypadła jej do gustu, opuściła bowiem lokal redakcyjny jakaś niezadowolona, a ja tymczasem, właśnie dzięki ukończyłem kronikę.

Zagadki do nagrody.

Kwadrat magiczny.
Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a a g k
m o o r
r r t t

Znaczenie wyrazów: 1 Rodzaj spłaty 2. Bóg miłości 3 Ubiór. 4 Napój

Logogryf.
Ułożył J. Tabor, Bochnia

Kwadraty i kreski zastąpić literami, by powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko polskiego liryka.

□ — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Miara. 2. Imię biblijne 3. Rzeka w Królestwie Polskiem. 4. Imię żeńskie. 5 Oddział wojska. 6. Wysoki kij. 7. Znany chwast 8 Gra w karty. 9. Imię męskie ruskie. 10. Rzeka na Węgrzech 11. Członek rodziny.

Grzebieniówka.
Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Podane litery poprzestawiać w ten sposób, by w pionowych szeregach utworzyły wyrazy. Pierwszy rząd poziomy poda pierwszą literę imienia i nazwisko polskiego powieściopisarza.

a a a c d e e ę f i i i i
i k k k m m m
m n n n o o p
p r r r s t u
u w y z z z j

Znaczenie wyrazów: 1 Zła kobieta. 2. Silny wiatr. 3. Święty ogień. 4 Postaci w mitologii greckiej 5. Narkotyk. 6 Trąba. 7. Inaczej uniesienie

Równania.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego utworu.

$$\frac{a}{2}+\frac{b}{4}+\frac{c}{2}=x$$

$$\frac{d}{4}+\frac{e}{2}+\frac{f}{2}+\frac{g}{3}=y$$

Znaczenie wyrazów: a) Zespół muzyczny. b) Ptak śpiewający. c) Ozdoba damskich kapeluszy. d) Paproć. e) Figura geometryczna. f) Drzewa szpilkowe. g) Ssak latający.

Krzyż magiczny.
Ułożył X. Y., Oświęcim.

Z podanych liter utworzyć dwa równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym wyrazy o podanem znaczeniu.

a a
a c
c d d h h i
i i i l n n
o o
r r

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Galicyi. 2. Miasteczko w Lombardyi.

Przysłowiówka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich inne przysłowie:

1) Rozumu nie kupi nawet w aptece.
2) Milczenie potwierdza.
3) Poznać po mowie człowieka
4) Kto chce wygrać gąsiora, musi ważyć kaczora.
5) Rozmaitość bawi.
6) Od świętej Anki, zimne wieczory i ranki.
7) Niema karesu bez interesu.
8) Pies psu ogona nie urwie.
9) Masz babo reduty
10) Kiedy bieda, to do żyda
11) Miotłą biedy nie wymiecie
12) Kto nie gra, nie straci.
13) Kruk krukowi oka nie wykole.
14) Kto z Bogiem, Bóg z nim
15 Prosta droga najlepsza.
16 Tyle zysku, co w pysku.

Bilety wizytowe.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć zawód, względnie godność poszczególnych osób

MIR. SZROTT.

STAN. REŻI.

ER. ANDZAR.

EGON A. ILTIS.

A. WIKTOR IZAK PROSPER.

DAMIAN R TRYCHA.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Blanki Halickiej:* **Błędni rycerze.** Powieść z dziejów emigracyi. 2 tomy.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 14.

Logogryf:

K u n i g a s
R u s a ł k a
A k s i n j a
S k a n d a l
Z a r n i c a
E p i g o n i
W a r c a b y
S z a b l o n
K o b i e t y
I r y d y o n

Okienko:

K o r e k
o o a
r o b a k
e a a
k a k a o

Łamigłówka: Zero, mina, amen, Hull, kwik, Anam, sago, Okno, dzik

Krzyż magiczny:

S O B
S e r e t
O r k a n
B e a t a
t n a

Zagadka: Litera G.

Łamigłówka: Prom, Rosa, Rata, Krem, Rana, Rada, Kram

Logogryf:

m
i d a
l i m a n
a b o
w

Trójkąt magiczny:

A n g l i a
n u r k i
g o a l
l o g
i n
a

Bilety wizytowe: Ajent policyjny. Radca kolei. Komisarz policyi. Porucznik piechoty.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, R. Królicki Krościenko, H. Hausner Poczta pol. 52, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, J. Pytel Kolbuszowa, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A Waga Kraków, K. Langer Berno.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Kalinowska, Mor. Ostrawa.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Notatnik kieszonkowy z raptularzykiem na rok 1915. Znana z swej ruchliwości i artystycznego smaku Drukarnia „Sztuka“ (Kraków, ulica Sobieskiego l. 16 A), wydała swym nakładem bardzo praktyczny kalendarz kieszonkowy z raptularzykiem na rok 1915. Jest on właściwie przeznaczony dla wojskowych, przydać się przecież może i cywilnej publiczności, zwłaszcza, że na rok bieżący pojawiło się bardzo mało tego rodzaju publikacyi.

Kalendarzyk oprawny w skórkę lub płótno, w kształcie portfelu, który wygodnie zmieścić można w kieszeni, zawiera prócz kalendaryum, tabele do obliczania procentów, tabliczkę mnożenia, skalę stemplową, wykaz mieszkańców większych miast w Austro-Węgrzech, przepisy pensyjne dla wojskowych i cywilnych, raptularz i notatnik blokowy, który może być zmieniany. Ponadto dodano do niego dwanaście kart pocztowej poczty polowej.

Wydanie bardzo staranne i nizka cena powinny przyczynić się do tego, iż „Notatnik“ z czasem wyruguje od nas podobne wydawnictwa zagraniczne.

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) Telefon Nr. 331.

HUMORYSTYCZNY

KALENDARZ „BOCIANA“

na rok 1915

już wyszedł i jest do nabycia we wszystkich trafikach i księgarniach.

Nabywać go też można wprost w Administracyi „Bociana“, Kraków XV. Przesyłki uskuteczni się odwrotnie **za nadesłaniem należytości z góry, za egzemplarz 1 kor. — (50 kop.), na porto 10 hal., lub 35 hal. na porto rekomendowane.** Za przesyłki nie rekomendowane Administracya nie odpowiada.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Muzyka wojskowa w każdą niedzielę.



Czyste Aluminium

zawsze błyszczące, piękne, zdrowe i trwałe!

Garnitury kuchenne

na 6 osób, z czystego aluminium składające się z 25 sztuk praktycznych dla każdego gospodarstwa niezbędnych przedmiotów:

a) **Komplet w zwyczajnym gatunku I.** K 40·—
b) **Komplet w gatunku ciężkim II.** K 60·—
c) **Komplet w gatunku specyalnym III.** K 85·—.



Stelarz ścienny z twardego drzewa od K 6·— wyżej.



Wysokie garnki
1 Litr K 1·70
2 1|2 „ „ 2·70
3 1|2 „ „ 3·60
5 „ „ 4·50

Parowe garnki na ziemn. i jarzyny
14 cm. K 5·—
16 „ „ 6·—
18 „ „ 7·50

Rynki
1|4 litr. K —·70
1|2 „ „ 1·20
1 „ „ 1·80
2 „ „ 3·—

Kociołki
1 litr K 7·20
2 „ „ 8·60
3 „ „ 9·60

Półmiski na pieczeń
20 cm. K 4·50
35 „ „ 5·50
40 „ „ 7·—

Patelnie na jajecznicę
12 cm. K —·90
15 „ „ 1·20
16 „ „ 1·50
18 „ „ 1·80



Maszynki do kawy
1|2 litr. K 6·50
1 „ „ 8·10
1 1|2 „ „ 9·50

Chochle do nabierania
7 cm. K —·90
8 „ „ 1·20
9 „ „ 1·50

Rynki na mleko
12 cm. K 1·50
14 „ „ 2·—
16 „ „ 2·50
18 „ 3·—

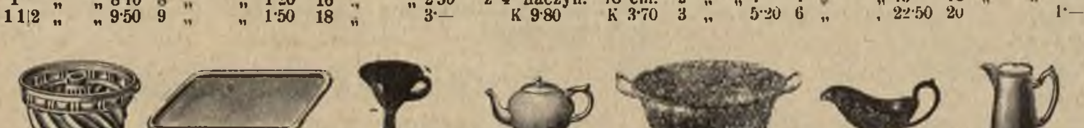
Menaszki
z 3 naczyn. K 7·70
z 4 naczyn. K 9·80

Sitka
14 cm. K 3·20
18 cm. K 3·70

Bańki na mleko
1 litr K 2·80
2 „ „ 4·—
3 „ 5·20

Wazy na zupę
2 litr. K 12·—
4 „ „ 15·—
6 „ , 22·50

Przykrywki
12 cm. K —·55
14 „ „ —·65
16 „ „ —·80
18 „ „ 1·—
20 1·—



Formy na babkę z rurą
18 cm. K 4·—
24 „ „ 5·70

Tace stołowe okrągłe i kańcz.
22 cm. K 1·65
30 „ „ 2·65
40 „ „ 5·25

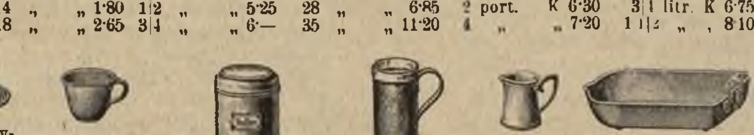
Lejki
10 cm. K 1·30
14 „ „ 1·80
18 „ „ 2·65

Czajniki
1|4 litr. K 4·50
1|2 „ „ 5·25
3|4 „ „ 6·—

Miski kuchenne
24 cm. K 5·—
28 „ „ 6·85
35 „ „ 11·20

Sosyerki
2 port. K 6·30
4 „ „ 7·20

Dzbanki na kawę i czekoladę
3|4 litr. K 6·75
1 1|2 „ , 8·10



Prasa do cytryny 28 h.

Filiżanka za 1 sztukę K 1·50

Sitko do herbaty
I. 35 hal.
II. 60 „

Puszki na kawę, herbatę lub cukier
mała K 2·—
duża „ 3·20

Miary
1|8 litr. K 1·70
1|4 „ „ 2·10
1|2 „ „ 2·60
1 „ „ 3·60
2 „ „ 4·70

Dzbanuszki na śmietank.
I. K 1·80
II. „ 2·70

Brytwany na pieczeń
28 cm. K 5·—
33 „ „ 7·—
41 „ „ 9·—



Flaszki „Thermos“ przechowują napoje przez 24 godzin w stanie zimnym lub gorącym! Niezbędne w podróży, na wycieczkach, manewrach i t. p. **Cena pół litr. flaszki Kor. 4·80**

Koszyki na chleb à K 1·20 1·85 2·70

Nakrycia stołowe z czystego aluminium, zastępujące w zupełności srebro.

Łyżka stołowa	K	—·35
Widelec	„	—·35
Nóż stołowy	„	1·—
Łyżeczka do kawy	„	—·20
Łyżka lub widele des.	„	—·25
Łyżka do kawy Mocca	„	—·15
Chochelka do mleka	„	1·—
Chochla do zupy	„	1·50

Wielkie illustrowane CENNIKI darmo na żądanie
I. Przedmioty kuchenne i gospodarcze.
II. Artykuły turystyczne, podróżne i praktyczne nowości.

Towarzystwo Aluminium

Wiedeń I, Wollzeile 18.

Nerwowo chorzy mężczyźni
(Neurastenicy)



niech żądają broszury o **natychmiastowym** usunięciu tego zła po nadesłaniu 40 h w markach pocztow.

Adres: **„Nowa Mechanika 232“** Fach pocztowy 40, Budapeszt, Główna poczta.

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBOR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej. **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.

Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby **skórzane.** Wielki wybór **torebek** damskich.

Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

Drukarnia D. E. Friedleina

w Krakowie, ul. Kaz. Wielkiego 95. Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

Sześć aparatów fotograficznych

ręcznych w form. 6×9

(Brownie Camera Nr. 2)

do sprzedania.

Wiadomość w Administracyi „Nowości Illustrowanych“.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego